

Na plaży

IAN McEWAN

Chesil



Na plaży

IAN McEWAN

Chesil

Z angielskiego przełożył
ANDRZEJ SZULC



Annalenie

JEDEN

Byli młodzi, wykształceni, w noc poślubną oboje bez doświadczenia w „tych sprawach”, i żyli w epoce, w której rozmowa o problemach seksualnych była po prostu niemożliwa. Nigdy nie jest zresztą łatwa. Siedli właśnie do kolacji w małym salonie na pierwszym piętrze hoteliku w stylu georgiańskim. W widocznym za otwartymi drzwiami sąsiednim pokoju stało raczej wąskie łóżko z baldachimem, z nieskazitelnie białą kołdrą, naciągniętą zdumiewająco gładko, jakby nie ludzką ręką. Edward nie wspomniał, że nigdy wcześniej nie spędził nocy w hotelu: dla Florence, która w dzieciństwie często podróżowała z ojcem, było to coś zupełnie zwyczajnego. Na pozór byli w świetnych nastrojach. Ślub w kościele St Mary w Oksfordzie udał się; nabożeństwo jak się patrzy, przyjęcie wesole, pożegnanie, jakie zgotowali im koledzy ze szkoły i studiów, głośnie i krzepiące. Wbrew ich obawom rodzice Florence nie potraktowali protekcyjnie rodziców Edwarda, jego matka zaś nie popełniła ani jednej gafy i nie zapomniała kompletnie, w jakim celu się zgromadzili. Młoda para odjechała małym autem należącym do matki Florence i przybyła wczesnym wieczorem do hotelu na wybrzeżu Dorset. Pogoda nie była może idealna jak na połowę lipca i na tę okazję, lecz całkiem do zaakceptowania: nie padał deszcz, ale nie było też, według Florence, dość ciepło, by zjeść kolację na tarasie, tak jak to wcześniej planowali. Edward był innego zdania, jednak uprzejmy aż do przesady, nie miał zamiaru sprzeciwiać się Florence w taki wieczór. Jedli więc na górze przy uchylonych drzwiach na balkon, z którego rozpościerał się widok na kanał La Manche i kamienistą mierzeję plaży. Chesil*. Dwaj młodzi chłopcy w smokingach donosili im dania ze stojącego na korytarzu wózka; wypastowane dębowe klepki skrzypiały komicznie za każdym razem, gdy wchodzili do pomieszczenia określanego na ogół mianem apartamentu dla nowożeńców. Dumny i opiekuńczy pan młody pilnie wypatrywał jakiegokolwiek gestu czy miny, które można by uznać za prześmiewcze. Nie zniósłby żadnej drwiny. Chłopcy z pobliskiej wsi wykonywali jednak swe obowiązki ze zgiętymi karkami, z nieruchomymi twarzami i wyraźną nieśmiałością i trzęsły im się ręce, gdy stawiali talerze na wykrochmalonym lnianym obrusie. Oni też byli spięci.

* Chesil Beach to część wąskiej kamienistej mierzei w hrabstwie Dorset w południowej Anglii. Plaża Chesil łączy się z półwyspem Portland urokliwymi klifami chroniącymi przed wiatrem, falami i pływami wioską Chiswell.

Nie był to dobry moment w historii angielskiej kuchni, ale nikt się tym wówczas nie przejmował, z wyjątkiem gości z zagranicy. Uroczysta kolacja zaczęła się tak, jak zaczynało się w tamtym okresie wiele posiłków – od plastra melona udekorowanego pojedynczą lukrowaną wisienką. Na korytarzu, na podgrzewanych świeczką srebrnych półmiskach czekały plastry dawno temu upieczonego rostbefu, rozgotowane jarzyny i ziemniaki o sinym odcieniu. Wino było francuskie, choć na etykiecie ozdobionej obrazkiem samotnie pikującej jaskółki nie wymieniono żadnego konkretnego regionu. Edwardowi nie przyszło na myśl, żeby zamówić czerwone.

Nie mogąc się doczekać wyjścia kelnerów, on i Florence odwrócili się w stronę balkonu, żeby spojrzeć na szeroki, porośnięty mchem trawnik i na kwitnące krzewy i drzewa, które czepiały się opadającego ku plaży stromego zbocza. Widzieli początek ścieżki prowadzącej po zabloconych stopniach w dół i okolonej chwastami niebywalej wielkości – podobnymi do rabarbaru i kapusty, z masywnymi, mającymi ponad sześć stóp długości łodygami, które uginały się pod ciężarem ciemnych, grubo żyłkowanych liści. Ogrodowa roślinność była zmysłowa i tropikalna w swojej bujności; efekt potęgowały szare miękkie światło i delikatna mgiełka idąca od morza, które bezustannie atakowało z łagodnym grzmotem brzeg i cofało się z sykiem, przesiewając kamyczki. Po kolacji zamierzali zmienić obuwie i wybrać się na spacer mierzeją, która biegła między morzem i laguną o nazwie Fleet, a gdyby nie skończyli wina, mieli zabrać je ze sobą i popijać z butelki niczym grasanci.

I mieli tyle planów, tyle przyprawiających o zawrót głowy planów, majaczących przed nimi w spowitej mgłą przyszłości, tak samo splątanych i bujnych jak letnia roślinność wybrzeża Dorset, i tak samo pięknych. Gdzie i jak będą żyli, kim będą ich bliscy znajomi, co Edward będzie robił w firmie jej ojca, jak ułoży się jej muzyczna kariera, co zrobią z pieniędzmi, które dał im jej ojciec, i jak będą się różnić od innych ludzi, przynajmniej wewnętrznie. Wciąż trwała epoka – miała się skończyć nieco później w tej słynnej dekadzie – kiedy bycie młodym stanowiło społeczny balast, znamię nieistotności, krępującą chorobę, której kuracja zaczynała się z chwilą zawarcia małżeństwa. Prawie dla siebie obcy, znaleźli się razem w nowym kulminacyjnym punkcie swojej egzystencji, przekonani, że nowy status wyzwoli ich ze stanu niekończącej się młodości – Edward i Florence, nareszcie wolni! Lubili rozmawiać na temat własnego dzieciństwa, nie tyle jego rozkoszy, ile mgiełki komicznych nieporozumień, z której się wyłonili, oraz różnych rodzicielskich błędów i przestarzałych metod wychowawczych, które skłonni byli teraz wybaczyć.

Z tych nowych wyżyn dostrzegali wyraźnie pewne sprzeczne emocje, lecz nie potrafili o nich ze sobą mówić: każde z nich obawiało się owego momentu, jakiś czas po kolacji, gdy zostanie poddana próbie ich nowa dojrzałość – gdy położą się razem na łożu z baldachimem i oddadzą sobie bez reszty. Od przeszło roku Edwarda fascynowała perspektywa, że pewnego lipcowego wieczoru jego najbardziej czuła część znajdzie się – aczkolwiek tylko na chwilę – w naturalnie uformowanej szczelinie wewnątrz tej wesołej, ładnej, niesamowicie inteligentnej kobiety. Nie wiedział, czy można tego dokonać bez narażenia się na śmieszność i rozczarowanie. Na podstawie jednego niefortunnego doświadczenia obawiał się zwłaszcza nadmiernej ekscytacji, tego, co ktoś określił jako „zbyt szybkie dojście”. Myślał o tym prawie bez przerwy, lecz choć dręczył go lęk przed fiaskiem, jego gotowość doznania rozkoszy i przewyciężenia wszelkich przeszkód okazała się znacznie większa. Obawy Florence były poważniejsze i w trakcie podróży z Oksfordu myślała kilka razy, że zbierze się na odwagę i powie, co ją gnębi. To, co ją gnębiło, zdawało się jednak nie do wysłownienia i sama nie potrafiła tego dokładnie rozpoznać. Podczas gdy on doświadczał konwencjonalnej tremy przed pierwszą nocą, ona odczuwała głęboką instynktowną trwogę, bezradność i wstręt równie namacalny jak choroba morska. W trakcie kilkumiesięcznych przygotowań do ślubu udawało jej się na ogół ignorować tę skazę na obrazie przyszłego szczęścia, ale kiedy tylko zaczynała myśleć o zbliżeniu – wołała nie używać innych terminów – czuła ucisk w żołądku i robiło jej się niedobrze. W nowoczesnym, utrzymanym w pogodnym tonie i obfitującym w wykrzykniki i liczne ilustracje poradniku dla młodych panien natrafiła na pewne frazy lub słowa, na widok których o mało się nie zakrztusiła: *śluzowa błona* oraz *złowroga i lśniąca żołądź*. Inne zwroty obrażały jej inteligencję, zwłaszcza te dotyczące „wchodzenia”: *na krótko, zanim w nią wejdzie* albo *teraz w końcu w nią wchodzi* oraz *szczęśliwie, zaraz potem, jak w nią wszedł*. Czy tej nocy miała zmienić się dla Edwarda w rodzaj portalu albo bawialni, po której miał się przechadzać? Niemal równie często występowało tam słowo, które kojarzyło się jej wyłącznie z bólem, z ciałem, które rozcina nóż: *penetracja*.

W przypiływie optymizmu próbowała sobie wmówić, że to, czego doświadcza, jest po prostu spotęgowaną formą nieśmiałości, która musi minąć. Na myśl o jądрах Edwarda, kołyszących się pod jego *przekrwionym* penisem – kolejne okropne określenie – rzeczywiście bezwiednie się skrzywiła, a pomysł, by pozwoliła się dotykać „tam na dole”, nawet komuś, kogo kochała, był tak samo odrażający jak, powiedzmy, operacja na otwartym oku. Ale jej nieśmiałość nie obejmowała dzieci. Lubiła je; opiekowała się czasem synkami swojej kuzynki i było to całkiem miłe.

Chętnie zaszłaby w ciążę z Edwardem i przynajmniej w abstrakcji nie bała się porodu. Gdyby tylko mogła, podobnie jak matka Jezusa, znaleźć się w błogosławionym stanie w wyniku jakichś czarów.

Florence podejrzewała, że coś jest z nią zasadniczo nie w porządku, że zawsze była inna i w końcu to się wyda. Przypuszczała, że chodzi o coś większego i głębszego aniżeli zwykła fizyczna odraza: całym swoim jestestwem buntowała się przeciwko perspektywie cielesnego splątania. Czowała, że naruszone zostaną jej wewnętrzny spokój i podstawy szczęścia. Nie chciała po prostu, by ktoś w nią „wchodził” albo ją „penetrował”. Seks z Edwardem nie był ukoronowaniem jej radości, lecz ceną, jaką musiała za nią zapłacić.

Wiedziała, że powinna mu to wyznać dawno temu, gdy tylko się jej oświadczył, na długo przed wizytą u pocziwego pastora o cichym głosie, przed kolacjami u jednych i drugich rodziców, zanim zaproszono weselnych gości, spisano i przekazano do domu towarowego listę prezentów, wynajęto namiot i fotografów i poczyniono inne, niedające się cofnąć przygotowania. Ale co mogła powiedzieć, jakich użyć słów, skoro sama nie potrafiła dokładnie określić, o co jej chodzi? I kochała Edwarda – nie gorącym wilgotnym uczuciem, o którym czytała, lecz ciepło, głęboko, czasami jak córka, czasami miłością niemal macierzyńską. Uwielbiała się do niego przytulać, czuć jego wielką rękę na ramionach i być przez niego całowana, choć nie lubiła, żeby wpychał język w jej usta, i bez słowa dała mu to do zrozumienia. Uważała, że jest oryginalny, niepodobny do żadnej z osób, które знаła. W kieszeni marynarki miał zawsze jakąś książkę w miękkiej okładce, na ogół historyczną, w razie gdyby znalazł się nagle w kolejce albo w poczekalni. Był chyba jedyną znaną jej osobą, która nie paliła tytoniu. Nie miał ani jednej pary pasujących do siebie skarpetek i nosił tylko jeden krawat z dzianiny, wąski i granatowy, który prawie zawsze wiązał do białej koszuli. Uwielbiała jego ciekawy umysł, łagodny wiejski akcent, niesamowicie silne dłonie, nieprzewidywalność, z jaką przeskakiwał z tematu na temat w trakcie rozmowy, uprzejmy sposób, w jaki ją traktował, i to, jak spoglądał na nią swoimi brązowymi oczyma, kiedy mówiła – miała wtedy wrażenie, że unosi się na skrzydłach miłości. W wieku dwudziestu dwóch lat nie miała wątpliwości, że chce spędzić resztę życia z Edwardem Mayhew. Jak mogłaby ryzykować, że go straci?

Nie było nikogo, z kim mogłaby porozmawiać. Jej siostra Ruth była zbyt młoda, a matka, na swój sposób absolutnie wspaniała, podchodziła do wszystkiego zbyt oschle i intelektualnie: typowa staroświecka sawantka. Za każdym razem, gdy trafiał się jakiś problem natury intymnej, przenosiła się

myślami na salę wykładową, używała coraz dłuższych i dłuższych słów i nawiązywała do książek, które jej zdaniem wszyscy powinni przeczytać. Dopiero kiedy kwestia była w ten sposób bezpiecznie opakowana, matka mogła, choć zdarzało się to nader rzadko, nawiązać życzliwy kontakt z rozmówcą, ale i tak nie można było pojąć, jak brzmi jej rada. Florence miała kilka cudownych przyjaciółek ze szkoły i studiów muzycznych, lecz problem z nimi był zupełnie odwrotny: uwielbiały intymne rozmowy i roztrząsanie cudzych problemów. Wszystkie dobrze się znały i bez przerwy do siebie telefonowały i słały listy. Nie mogła liczyć na ich dyskrecję i nie miała im tego za złe, ponieważ należała do paczki. Ona też nie dochowała tajemnicy. Samotnie borykała się z problemem, którego nie potrafiła nawet nazwać, a jedynym źródłem jej wiedzy był poradnik w miękkiej oprawie. Na jego jaskrawo czerwonej okładce widać było dwie trzymające się za dłonie, uśmiechnięte figurki z wyłupiastymi oczyma, narysowane nieporadnie białą kredą, jakby ręką niewinnego dziecka.

Zjedli melona w niespełna dwie minuty. W tym czasie kelnerzy, zamiast czekać na korytarzu, stali przy drzwiach, skubiąc muszki, ciasne kołnierzyki i mankiety koszul. Wyraz ich twarzy nie zmienił się, gdy Edward z udawanym namaszczeniem podał Florence na palcu swoją lukrowaną wisienkę. Złapała ją figlarnie ustami i rozgryzła, patrząc mu prosto w oczy i oblizując wargi językiem, świadoma, że flirtując z Edwardem w ten sposób, pogarsza tylko własną sytuację. Nie powinna zaczynać czegoś, czego nie mogła kontynuować, ale dogadzanie mu w każdy możliwy sposób łagodziło trochę napięcie: nie czuła się przynajmniej kompletnie nieprzydatna. Gdyby tylko zjedzenie lepkiej wisienki okazało się wszystkim, czego od niej wymagano.

Żeby pokazać, że nie krępuje go obecność kelnerów (choć marzył o tym, żeby wyszli), Edward wyprostował się na krześle z kieliszkiem w dłoni i obejrzał przez ramię.

– Macie tego jeszcze trochę? – zawołał.

– Nie mamy, proszę pana. Przepraszam pana.

Lecz dłoń, w której Edward trzymał kieliszek, drżała, gdy starał się opanować nagłą falę szczęścia i egzaltacji. Miał wrażenie, że Florence cała jaśniej, i była taka urocza – piękna, wrażliwa, utalentowana i niewiarygodnie łagodna.

Chłopak, który odpowiedział na pytanie Edwarda, podszedł, żeby sprzątnąć nakrycia. Jego kolega był w tym momencie na korytarzu i

nakładał drugie danie. Wózka nie można było wtoczyć do apartamentu ze względu na różnicę dwóch stopni między jego podłogą i podłogą korytarza – wynik błędnego planowania, kiedy w połowie osiemnastego wieku elżbietański budynek gospodarczy przebudowywano w stylu georgiańskim.

Młodzi zostali na chwilę sami, ale słyszeli przez otwarte drzwi zgrzytanie łyżki o półmisek i stłumione głosy kelnerów. Edward położył dłoń na dłoni Florence.

– Kocham cię – powiedział szeptem po raz setny tego dnia, a ona wyznała mu to samo i naprawdę w to wierzyła.

Edward skończył historię na University College w Londynie, z bardzo dobrą oceną. W ciągu trzech krótkich lat studiował wojny, powstania, klęski głodu i zarazy, wzrost i upadek imperiów, rewolucje, które pożerały swoje dzieci, ciężką pracę na roli, brud i nędzę przemysłu, okrucieństwa elit rządzących – barwny korowód prześladowań, ubóstwa i zawiedzionych nadziei. Rozumiał, jak ograniczone i nędzne może być życie ludzi, z pokolenia na pokolenie. W ogólnym porządku rzeczy pokój i dobrobyt, których doświadczała teraz Anglia, były czymś rzadkim, a w ich ramach szczęście, jakiego zaznawali on i Florence, czymś wyjątkowym, a może nawet niepowtarzalnym. Na ostatnim roku studiów pisał pracę o „wielkich ludziach” w historii – czy naprawdę zdezaktualizowało się przekonanie, że potężne indywidualności mogą kształtować dzieje narodu? Tak z pewnością uważał promotor Edwarda: jego zdaniem nieomylnie siły popychały odpowiednio skapitalizowaną Historię ku nieuchronnym, koniecznym celom, i zostanie wkrótce uznana za naukę ścisłą. Jednak żywoty, które zbadał dokładnie Edward – Cezara, Karola Wielkiego, Fryderyka Drugiego, Katarzyny Wielkiej, Nelsona oraz Napoleona (osobę Stalina ominął na wyraźne życzenie promotora) – sugerowały coś wręcz przeciwnego. Bezwzględny przywódca, nagła okazja i łut szczęścia – dowodził Edward – mogą odmienić los milionów. Ta konkluzja sprawiła, że dostał czwórkę z minusem i o mało nie stracił dyplomu z wyróżnieniem.

Przy okazji odkrył, że nawet legendarne sukcesy dają mało szczęścia, wzmagają za to niepokój i podsycają ambicję. Ubierając się na ślub tego ranka (frak, wysoki cylinder, duża ilość wody kolońskiej), uznał, że żadna z postaci z jego listy nie doznała satysfakcji, której on teraz doświadczał. Jego uniesienie samo w sobie stanowiło formę wielkości. Oto on: cudownie zaspokojony bądź też prawie zaspokojony mężczyzna. W wieku dwudziestu dwóch lat zdażył już wszystkich przyćmić.

Wpatrywał się teraz w swoją żonę, w misternie cętkowane orzechowe

tęczówki jej oczu i czyste białka z nutką jasnego mlecznego błękitu. Miała grube i ciemne rzęsy, jak u dziecka, i było również coś dziecinnego w spokojnej powadze jej twarzy, uroczej twarzy z rzeźbionymi rysami, które w pewnym oświetleniu przywodziły na myśl Indiankę, wysoko urodzoną squaw. Silna szczeka przydawała naturalności szerokiemu uśmiechowi i zmarszczkom w kącikach oczu. Florence była grubokoścista – kilka obecnych na weselu matron zwróciło uwagę na jej szerokie biodra. Jej piersi – Edward dotykał ich, a nawet je całował, choć czynił to zdecydowanie zbyt rzadko – były dość małe, a jej dłonie skrzypaczki – blade i silne, podobnie jak długie ramiona; w szkole uprawiała rzut oszczepem.

Edward nigdy nie interesował się muzyką klasyczną, lecz teraz uczył się jej dziarskiego żargonu: *legato*, *pizzicato*, *con brio*. Powoli, dzięki banalnemu powtarzaniu, zaczął rozpoznawać i nawet lubić pewne utwory. Szczególnie poruszył go jeden, który Florence grała ze swoimi przyjaciółmi. Ćwicząc w domu gamy i arpeggia, zakładała na włosy opaskę, co budziło w nim marzenie o córce, którą mogli kiedyś mieć. Gra Florence była meandryczna i dokładna i służyła z bogatego brzmienia. Jeden z nauczycieli stwierdził, że nigdy jeszcze nie spotkał uczennicy o tak ciepłym dźwięku otwartej struny. Stojąc za pulpitem na sali prób w Londynie lub w swoim pokoju w domu jej rodziców w Oksfordzie, na oczach leżącego na łóżku, pożądanego jej Edwarda, Florence trzymała się prosto, z wdziękiem i dumnie podniesioną głową, i czytała nuty z władczym, niemal wyniosłym wyrazem twarzy, który go podniecał. To spojrzenie znamionowało taką pewność i taką znajomość drogi ku szczęściu.

W sprawach muzycznych była zawsze pewna siebie i miała płynne ruchy – nacierając smyczek kalafonią, strojąc swój instrument i przygotowując pokój na przyjęcie trojga przyjaciół ze szkoły, tworzących wraz z nią kwartet smyczkowy, który stał się jej pasją. Była niekwestionowaną liderką i zawsze miała ostatnie słowo podczas wielu ich muzycznych kontrowersji. W innych dziedzinach była jednak zaskakująco niezgrabna i niepewna, wiecznie uderzała się w palec u nogi, wywracała różne rzeczy albo obijała głowę. Palce, które radziły sobie z dwudźwiękami w bachowskiej partii, potrafiły wylać pełną filiżankę herbaty na lniany obrus albo upuścić kieliszek na kamienną posadzkę. Potykała się, przypuszczając, że ktoś ją obserwuje – zwierzyła się Edwardowi, że męką jest dla niej podchodzenie na ulicy do kogoś znajomego. I za każdym razem gdy była podenerwowana lub skrepowana, jej ręka podnosiła się, by odsunąć wyimaginowany kosmyk włosów z czoła – łagodny, trzepotliwy gest, który powtarzał się długo po tym, jak ustało źródło stresu. Jak mógłby nie

pokochać kogoś tak dziwnie i serdecznie wyjątkowego, tak do bólu uczciwego i samokrytycznego, osoby, której każda myśl i emocja były widoczne jak na dłoni, przepływały niczym naładowane cząsteczki przez zmieniającą się twarz i gesty? Pokochałby ją, nawet gdyby nie odznaczała się tą posagową urodą. A ona kochała go z taką intensywnością, z taką straszliwą fizyczną wstrzemięźliwością. Pobudzała nie tylko jego żądze, spotęgowane brakiem właściwego ujścia, lecz również instynkt opiekuńczy. Czy rzeczywiście jednak była taka bezbronna? Zagląając raz do jej szkolnych papierów, odkrył, że jej iloraz inteligencji wynosi sto pięćdziesiąt dwa, o siedemnaście punktów więcej niż jego. Działo się to w epoce, gdy uważano te wskaźniki za coś równie konkretnego jak wzrost lub waga. Kiedy w dyskusji z Charlesem, pulchnym i asertywnym wiolonczelistą o twarzy obsypanej późno rozkwitłym trądzikiem, miała inne zdanie na temat frazowania, tempa lub dynamiki, Edward, który obserwował próbę, dziwił się, jaka potrafi być chłodna. Nie kłóciła się, lecz wysłuchiwała spokojnie oponenta i ogłaszała swoją decyzję. Nie musiała wtedy odgarniać wymagowanego kosmyka. Znała się na rzeczy i stawiała na swoim, tak jak to powinny czynić pierwsze skrzypce. Najwyraźniej była w stanie skłonić swego raczej budzącego lęk ojca, by postępował zgodnie z jej życzeniami. Na wiele miesięcy przed ślubem zaproponował, stosownie do jej sugestii, posadę Edwardowi. Inną sprawą było, czy Edward naprawdę chciał tej pracy, czy też nie śmiał tylko odmówić. I dzięki jakiejś kobiecej przenikliwości wiedziała dokładnie, co będzie potrzebne na uroczystość weselną, od rozmiarów namiotu po ilość letniego puddingu, a także jaką sumę zechce wyłożyć jej ojciec.

– Idą – szepnęła, ściskając Edwarda za rękę i ostrzegając przed kolejnym intymnym wyznaniem.

Kelnerzy pojawili się z pieczenią, której na jego talerzu było dwa razy więcej. Przynieśli również biszkopt z bitą śmietaną i wiśniami, ser cheddar oraz miętowe czekoladki i postawili to wszystko na kredensie. Wymamrotawszy kilka słów na temat dzwonka przy kominku – żeby wezwać obsługę, trzeba go było mocno wcisnąć i przytrzymać – chłopcy wycofali się, zamykając za sobą drzwi z ogromną ostrożnością. Zabrział terkot oddalającego się korytarzem wózka, następnie po chwili ciszy wesoly okrzyk bądź gwizd, który mógł dochodzić z hotelowego baru na dole, i wreszcie nowożeńcy zostali sami.

Zmieniający kierunek lub wzmagający się wiatr przyniósł odgłos łamiących się fal, który brzmiał niczym odległy brzęk kieliszków. Mgła unosiła się, odsłaniając kontury niskich pagórków nad linią brzegową na

wschodzie. Widzieli lśniąca szarą gładź, która mogła być jedwabista powierzchnią morza, laguny bądź nieba – trudno było powiedzieć. Wpadająca przez uchylone drzwi bryza niosła kuszący słony zapach tlenu i otwartych przestrzeni, niepasujący do wykrochmalonego obrusu, zabelonego kukurydzianą mąką sosu i ciężkich srebrnych sztuców, które trzymali w dłoniach. Weselny lunch był obfity i długi. Nie czuli głodu. Teoretycznie mogli śmiało zostawić talerze, złapać butelkę wina, zbiec na plażę, zdjąć buty i cieszyć się wolnością. W hotelu nie było nikogo, kto by chciał ich zatrzymać. Byli wreszcie dorośli, na wakacjach, i wolno im było robić, co chcieli. Za parę lat tak właśnie uczyniliby całkiem zwyczajni ludzie. Na razie jednak krępowały ich więzy epoki. Nawet kiedy Edward i Florence byli sami, obowiązywały ich tysiące niepisanych zasad. Właśnie dlatego, że byli dorośli, nie mogli zachowywać się dziecinnie, nie mogli nie zjeść posiłku, który ktoś dla nich pracowicie przygotował. Był przecież czas kolacji. A dziecinność nie stała się jeszcze czymś zaszczytnym ani modnym. Mimo to Edwarda nęciła plaża i gdyby wiedział, jak to zaproponować lub usprawiedliwić, mógłby od razu zabrać Florence na spacer. Przeczytał jej wcześniej fragment przewodnika, w którym pisano, że trwające od tysięcy lat sztormy przesiały i zróżnicowały kamyki w taki sposób, że większe z nich znalazły się przy wschodnim krańcu osiemnastomilowej mierzei. Legenda głosiła, że dobijający w nocy do brzegu tutejsi rybacy poznawali, w którym są miejscu, po rozmiarach kamyków. Florence zasugerowała, że mogliby to sprawdzić, porównując próbki zebrane w odległości mili od siebie. Spacer plażą byłby lepszy od siedzenia tutaj. Niewysoki sufit wydawał się Edwardowi niższy niż w rzeczywistości i zdecydowanie go przytłaczał. Z talerza unosił się zmieszany z morską bryzą lepki odór przypominający oddech domowego psa. Niewykluczone, że Edward nie był w tak radosnym nastroju, jak to sobie stale powtarzał. Czuł straszliwą presję, która ograniczała jego myśli i dławiała głos w gardle. Doznawał poza tym silnego fizycznego dyskomfortu – jego spodnie lub bielizna wyraźnie się skurczyły.

Dlatego gdyby przy ich stoliku pojawił się dzin, by spełnić najpilniejsze pragnienie Edwarda, ten nie prosiłby go o żadną plażę. Myślał wyłącznie o tym, by znaleźć się wraz z Florence nago w łóżku w sąsiednim pokoju i stawić wreszcie czoło temu groźnemu wyzwaniu, które wydawało się tak odległe od codziennego życia jak wizja religijnej ekstazy lub nawet sama śmierć. Ta perspektywa – czy rzeczywiście to się zdarzy? właśnie jemu? – sprawiła, że po raz kolejny poczuł, jak jego podbrzusza dotykają zimne macki, i zakręciło mu się w głowie, co zamaskował ukontentowanym westchnieniem.

Jak większość młodych mężczyzn jego epoki, każdej epoki pozbawionej klimatu bezpośredniości i środków seksualnej ekspresji, oddawał się stale temu, co pewien oświecony ekspert nazwał „dogadaniem sobie”. Edwardowi bardzo spodobało się to określenie. Urodził się zbyt późno, bo w roku 1940, by wierzyć, że zadaje sobie gwałt, że pogorszy mu się wzrok i że Bóg obserwuje z surowym niedowierzaniem jego codzienny znój. Ani nawet, że wszyscy domyślą się, co robi, po bladym licu i nieobecnym spojrzeniu. Mimo to jego wysiłkom towarzyszył pewien niesprecyzowany wstyd, poczucie klęski, marnotrawstwa i oczywiście samotności. I naprawdę nie chodziło mu przede wszystkim o doznanie rozkoszy. Celem było pozbycie się nagłego, ograniczającego myśli pożądania, ochoty na to, co było w tym momencie nieosiągalne. Jakie to niezwykle, że tryskająca z jego ciała cienka strużka natychmiast uwalniała umysł, który mógł na nowo zająć się stanowczą postawą Nelsona w zatoce Aboukir.

Najważniejszym wkładem Edwarda w weselne przygotowania była trwająca ponad tydzień seksualna abstynencja. Nie zachowywał się tak cnotliwie od ukończenia dwunastego roku życia. Chciał zachować szczytową formę dla swej małżonki. Nie było to łatwe, zwłaszcza w nocy w łóżku, rano, kiedy się budził, w długie popołudnia, w godzinach przed lunchem oraz zanim poszedł spać. Teraz byli w końcu zaślubieni i sami. Dlaczego nie wstał od kolacji, nie obsypał jej pocałunkami i nie zaprowadził do łóżka z baldachimem w sąsiednim pokoju? Nie było to takie proste. Historia pokonywania przez niego nieśmiałości Florence była dość długa. Nauczył się tę cechę szanować, nawet podziwiać, biorąc ją mylnie za fałszywą skromność, konwencjonalną zasłonę skrywającą gorący temperament. Ogólnie rzecz biorąc – świadectwo głębokiej i złożonej natury Florence, a także wysokich przymiotów. Przekonał sam siebie, że taką ją woli. Nie do końca to sobie uświadamiał, lecz jej powściągliwość pasowała do jego ignorancji i braku pewności siebie. Bardziej zmysłowa i wymagająca, „dzika” kobieta, mogłaby go przerazić.

Ich zaloty przypominały pawanę, uroczysty taniec ograniczony nigdy nieuzgodnionymi i niewypowiedzianymi, lecz na ogół przestrzeganymi regułami. Nic nie było nigdy omawiane – nie odczuwali też potrzeby intymnej rozmowy. To były sprawy niedające się ująć w słowach, niedające się zdefiniować. Język i praktyka terapii, waluta uczuć sumiennie ujawnianych i wzajemnie analizowanych, nie weszła jeszcze do powszechnego obiegu. Słyszało się co prawda o bogatszych osobach chodzących do psychoanalityka, lecz w codziennych okolicznościach nie traktowano siebie jako tajemnicy, ćwiczenia z historii narracyjnej bądź też

problemu czekającego na rozwiązanie.

Między Edwardem i Florence nic nie działo się szybko. Ważne koncesje, udzielane bez słów zezwolenia, poszerzające zakres tego, co wolno mu było oglądać lub pieścić, uzyskiwane były stopniowo. Dzień w październiku, gdy po raz pierwszy zobaczył jej nagie piersi, znacznie poprzedzał dzień, kiedy wolno mu było ich dotknąć – 19 grudnia. Pocałował je w lutym, ale nie brodawki, które musnął wargami tylko raz, w maju. Ona z jeszcze większą ostrożnością odkrywała jego ciało. Nagłe ruchy bądź radykalne sugestie z jego strony mogły zaprzepaścić długie miesiące usilnej pracy. Wieczór w kinie na seansie *Smaku miodu*, kiedy wziął jej rękę i wsunął sobie między nogi, cofnął cały proces o kilka tygodni. Nie potraktowała go lodowato ani nawet chłodno – nie było to w jej zwyczaju – lecz niezauważalnie się oddaliła, sprawiając wrażenie rozczarowanej, a może nawet zdradzonej. Wycofując się, nie pozwoliła mu jednocześnie wątpić w szczerość swej miłości. A potem wrócili na właściwą drogę: w sobotnie popołudnie pod koniec marca, gdy deszcz bębnił o szyby zapuszczonego salonu małego domku jego rodziców w Chiltern Hills, położyła na moment rękę na jego penisie, a w każdym razie dość blisko niego. Przez niecałe piętnaście sekund, ze wzbierającą nadzieją i bliski ekstazy czuł jej dłoń przez dwie warstwy materiału. Kiedy ją cofnęła, był pewny, że dłużej tego nie zniesie. Poprosił ją o rękę.

Nie mógł wiedzieć, ile kosztowało ją położenie dłoni – wierzchem – w takim miejscu. Kochała go, chciała mu sprawić przyjemność, ale musiała pokonać sporą odrazę. Szczerze się starała – była może i sprytna, lecz nie podstępna. Trzymała tę dłoń tak długo, jak długo mogła, dopóki coś nie poruszyło się i nie stwardniało pod szarą flanelą jego spodni. Poczowała coś żywego, zupełnie niezależnego od jej Edwarda – i odsunęła się. A wtedy on wyskoczył ze swoimi oświadczeniami i na fali uczuć, radości, zachwyty i ulgi, zapomniała pośród uścisków o swoim małym szoku. On zaś był tak zdumiony własną rezolucją i spętany mentalnie przez niezaspokojoną żądzą, że mógł mieć bardzo niewielkie wyobrażenie o sprzeczności, z którą Florence musiała odtąd żyć, o sekretnym związku radości i odrazy.

Byli zatem sami i choć teoretycznie mogli robić, co im się podobało, jedli dalej kolację, na którą nie mieli ochoty. Florence odłożyła nóż, wzięła Edwarda za rękę i ścisnęła ją. Z parteru słychać było radio, dzwony Big Bena, sygnalizujące początek wiadomości o dziesiątej. Na tym odcinku wybrzeża telewizja nie odbierała najlepiej z powodu ciągnących się wzdłuż brzegu wzgórz. Starsi goście siedzieli w salonie, starając się zrozumieć świat przy wieczornej szklaneczce whisky – hotel miał niezłą kolekcję gatunków

single malt. Niektórzy panowie po raz ostatni tego dnia nabijali fajki. Gromadzenie się przy radiu w trakcie głównego wydania wiadomości stanowiło wojenny zwyczaj, z którym nigdy nie mieli zerwać. Edward i Florence usłyszeli stłumione zapowiedzi i nazwisko premiera, a po minucie lub dwóch – znajomy, podniesiony głos. Harold Macmillan przemawiał na konferencji w Waszyngtonie na temat wyścigu zbrojeń i potrzeby zakazu prób jądrowych. Nikt nie mógł zaprzeczyć, że szaleństwem są próbne wybuchy w atmosferze i napromieniowywanie całej planety. Jednakże nikt poniżej trzydziestki – i z całą pewnością nie Edward i Florence – nie wierzył, że brytyjski premier miał dużo do powiedzenia w sprawach globalnych. Imperium z każdym rokiem kurczyło się, kolejne kraje zdobywały należną niepodległość. Obecnie prawie nic już z niego nie zostało i świat należał do Amerykanów i Rosjan. Wielka Brytania, Anglia, była drugorzędym mocarstwem – mówiąc to, odczuwało się bluźnierczą przyjemność. Zgromadzeni na dole oczywiście byli odmiennego zdania. Wszyscy powyżej czterdziestki walczyli albo cierpieli na wojnie, napatrzili się na śmierć na niespotykaną skalę i nie byli w stanie uwierzyć, że nagrodą za wszystkie te poświęcenia jest utrata mocarstwowej pozycji.

Edward i Florence mieli po raz pierwszy głosować w następnych wyborach powszechnych i marzył im się triumf laburzystów tak samo wielki jak słynne zwycięstwo w 1945 roku. Za rok albo dwa starsze pokolenie, które wciąż śniło o imperium, ustąpi miejsca politykom takim jak Gaitskell, Wilson i Crosland – nowym ludziom z wizją nowoczesnego państwa, w którym panuje równość i coś się rzeczywiście robi. Skoro Ameryka mogła mieć przystojnego i żywiołowego prezydenta Kennedy'ego, dlaczego w Brytanii nie mógł pojawić się ktoś podobny – przynajmniej w wymiarze duchowym, ponieważ w Partii Pracy trudno było znaleźć kogoś tak fizycznie atrakcyjnego. Skończył się czas szowinistów, w dalszym ciągu toczących ostatnią wojnę i wspominających z nostalgią towarzyszące jej wyrzeczenia i dyscyplinę. Wspólne przekonanie Edwarda i Florence, że kraj zmieni się wkrótce na lepsze, że energia młodych znajdzie ujście niczym trzymana pod ciśnieniem para, łączyło się z poczuciem, iż sami również przeżywają podniecającą przygodę. Lata sześćdziesiąte były pierwszą dekadą ich dorosłego życia, dekadą, która z całą pewnością należała do nich. Siedzący na dole fajczarze w pozapinanych na srebrne guziki blezerach, z podwójnymi porcjami whisky Caol Ila, ze wspomnieniami kampanii w Afryce Północnej i Normandii i pielęgnowanymi resztkami żołnierskiego slangu nie mieli prawa do przyszłości. Wasz czas minął, panowie!

Unosząca się mgła odsłaniała pobliskie drzewa, nagie zielone klify za

laguną i bezkres srebrzystego morza. Stół opływało łagodne wieczorne powietrze, a oni wciąż udawali, że jedzą, spętani prywatnymi niepokojami. Florence przesuwiała jedzenie po talerzu, Edward jadł wyłącznie małe kawałki ziemniaków, które kroił skrajem widelca. Słuchali bezradnie wiadomości, świadomi, jaką głupotą jest poświęcanie uwagi temu samemu, co goście na dole. To była ich noc poślubna i nie mieli sobie nic do powiedzenia. Spod ich stóp dobiegały niewyraźne słowa, ale usłyszeli nazwę miasta „Berlin” i domyślili się od razu, że to historia, która wzbudziła powszechne zainteresowanie. Chodziło o ucieczkę z komunistycznego wschodu na zachód, ucieczkę, której dokonano, opanowując parowiec kursujący po Wannsee. Uciekinierzy kryli się za maszynownią przed pociskami wschodniemieckich strażników. Nowożeńcy wysłuchali tej, a po tem kolejnej informacji, która dotyczyła ostatniej sesji islamskiej konferencji w Bagdadzie.

Zmuszeni do słuchania wiadomości ze świata przez własną głupotę! To nie mogło trwać dłużej. Trzeba było coś zrobić. Edward rozluźnił krawat i stanowczym gestem położył nóż i widelec na talerzu.

– Możemy zejść na dół i wysłuchać całej audycji.

Miał nadzieję, że wykazał się poczuciem humoru, kierując swój sarkazm pod adresem obojga, jego słowa zabrzmiały jednak zaskakująco ostro. Florence zaczerwieniła się. Uznała, że krytykuje ją za to, iż woli radio od niego.

– Albo możemy iść do łóżka – powiedziała szybko, odgarniając nerwowo z czoła niewidzialny kosmyk, zanim Edward zdążył złagodzić bądź obrócić w żart swoją uwagę.

Chcąc pokazać, jak bardzo Edward się myli, zaproponowała to, czego – jak wiedziała – najbardziej pragnął i czego sama najbardziej się bała. W rzeczywistości byłaby szczęśliwsza, a w każdym razie mniej nieszczęśliwa, gdyby mogła zejść do salonu i spędzić czas na cichej rozmowie z siedzącymi na kwiecistych sofach paniami, podczas gdy ich mężowie nadstawialiby uszu na wiadomości i wichry historii. Wszystko tylko nie to.

Jej mąż uśmiechnął się, wstał i wyciągnął do niej uroczyście rękę nad stołem. On też lekko się zaczerwienił. Jego serwetka przyłgnęła na chwilę do spodni, wisząc tam absurdalnie niczym opaska na biodra, a potem spłynęła powoli na podłogę. Florence nie mogła nic zrobić, najwyżej zemdleć, a nigdy nie była dobra w udawaniu. Podniosła się i ujęła dłoń Edwarda, pewna, że jej własny uśmiech jest sztywny i nieprzekonujący. Stropiłaby się jeszcze

bardziej, wiedząc, że Edward w swoim rozmarzeniu nigdy nie widział jej bardziej uroczej. Było coś szczególnego w jej szczupłych i odsłoniętych ramionach – pamiętał później, że tak myślał – które wkrótce miała zarzucić mu z uwielbieniem na szyję. I w pięknych jasnobrązowych oczach, w których płonęła niewatpliwa pasja. I w lekkim drzeniu dolnej wargi, którą właśnie w tym momencie zwilżyła językiem.

Wolną ręką próbował zabrać ze stołu butelkę wina i dwa do połowy pełne kieliszki, ale okazało się to zbyt trudne i rozpraszające – kieliszki obijały się o siebie, nóżki krzyżowały w jego dłoni i wino zaczęło się wylewać. Zamiast tego złapał samą butelkę. Mimo całego zdenerwowania i podniecenia zdawało mu się, że rozumie konwencjonalną powściągliwość żony. Tym więcej będzie radości później, gdy stawiają razem czoło tej doniosłej chwili, przeżyją to przełomowe doświadczenie. Ekscytujące było, że to właśnie ona zaproponowała, by poszli do łóżka. Zmiana statusu wyzwoliła ją. Wciąż trzymając jej rękę, okrążył stół i podszedł bliżej, żeby pocałować Florence. Przekonany, że trzymając przy tym butelkę, zachowałby się wulgarnie, odstawił ją z powrotem.

– Jesteś taka piękna – szepnął.

Nie mogła zapomnieć, jak bardzo kocha tego mężczyznę. Był miły, wrażliwy, kochał ją i nie mógł jej zrobić żadnej krzywdy. Przytuliła się do niego, przywierając do piersi i wciągając w nozdrza znajomy zapach, który miał w sobie coś drzewnego i krzepiącego.

– Jestem tu z tobą taki szczęśliwy.

– Ja też jestem szczęśliwa – odparła cicho. Kiedy się pocałowali, natychmiast poczuła jego język, napięty i silny, wpychający się między jej zęby niczym włamywacz wyważający drzwi.

Wchodzący w nią. Jej własny język zwinął się w trąbkę i cofnął z odruchową odrazą, zostawiając więcej miejsca intruzowi. Edward wiedział świetnie, że ona nie lubi tego rodzaju pocałunków, i nigdy wcześniej nie był taki natarczywy. Przyciskając mocno wargi do jej warg, penetrował miękkie dno jamy ustnej, a potem przesunął język po wewnętrznej stronie zębów dolnej szczęki, tam gdzie przed trzema laty usunięto jej w znieczuleniu ogólnym krzywo rosnący ząb mądrości. Do tego miejsca podążał zwykle jej własny język, kiedy była pogrążona w myślach. I ponieważ była to raczej idea aniżeli rzeczywiste miejsce, intymny wyimaginowany zakątek, a nie ubytek w dziąśle, tym dziwniejsze wydało jej się, że inny język też potrafi tu zawędrować. Wstręt budził w niej zwięzający się twardy koniuszek obcego

mięśnia, roztrzepotany i żywy. Lewa dłoń Edwarda spoczywała płasko na jej łopatkach, tuż pod karkiem, i Florence nie mogła cofnąć głowy. Uczucie klaustrofobii i zadyszka zwiększały się, w miarę jak powtarzała sobie w myślach, że nie może urazić swego męża. Jego język był pod jej językiem i przyciskał go do podniebienia, potem znalazł się nad nim i cisnął go w dół, w końcu przesunął się gładko po bokach i dookoła, jakby Edward sądził, że zdoła zawiązać prosty węzeł. Chciała pobudzić swój język do współdziałania, nakłonić go do ohydneho niemego duetu, ale mogła się tylko skulić i pamiętać, że nie wolno jej się opierać, zakrztusić, wpaść w panikę. Przez głowę przemknęła jej dzika myśl, że jeżeli zwymiotuje mu w usta, ich małżeństwo natychmiast się rozpadnie i będzie musiała wrócić do domu i wytłumaczyć się przed rodzicami. Rozumiała doskonale, że ta historia z językami, ta penetracja, jest odtworzonym w małej skali rytualnym *tableau vivant* tego, co miało dopiero nadejść, niczym poprzedzający dawne sztuki prolog, w którym mowa o wszystkim, co musi się wydarzyć.

Stojąc tam i czekając, aż ta chwila dobiegnie końca, z rękoma spoczywającymi dla przyzwoitości na biodrach Edwarda, Florence zdała sobie sprawę z prostej prawdy, dość oczywistej w retrospekcji, tak samo pierwotnej i starodawnej jak podatek podymny albo *ius primae noctis*, i prawie zbyt elementarnej, by dała się zdefiniować: decydując się na zamażpójście, zgodziła się właśnie na to. Uznała, że robienie tego jest w porządku i można jej to zrobić. Kiedy po zakończeniu ceremonii weszła razem z Edwardem i rodzicami do mrocznej zakrystii, by podpisać akt ślubu, właśnie pod tym złożyli swoje podpisy. Cała reszta – domniemana dojrzałość, konfetti i tort – była tylko miłym dodatkiem. A jeżeli Florence się to nie podobało, tylko ona była za to odpowiedzialna, ponieważ wszystkie podejmowane przez nią w ciągu ostatniego roku decyzje prowadziły dokładnie do tego. Wszystko to była jej wina i teraz naprawdę obawiała się, że zwymiotuje.

Słyszac jej jęk, Edward uprzytomnił sobie, że prawie nic nie brakuje mu do szczęścia. Miał poczucie wspaniałej nieważkości, wydawało mu się, że unosi się kilka cali nad ziemią i góruje nad Florence. Serce podchodziło mu do gardła i waliło z rozkosznym bólem. Podniecał go lekki dotyk jej rąk, spoczywających niezbyt daleko od jego krocza, uległość, z jaką jej urocze ciało poddawało się jego uściskom, zmysłowy odgłos, z jakim wciągała raptownie powietrze w płuca. Sposób, w jaki jej język owinał się łagodnie wokół jego języka, doprowadził go do punktu nieznanej ekstazy, chłodnej i ostrej, tuż pod żebrami. Może przekona ją już wkrótce – niewykluczone, że stanie się to dziś wieczór i wcale nie trzeba będzie jej przekonywać – żeby

wzięła w swoje miękkie i piękne usta jego penisa. Musiał jednak czym prędzej odsunąć od siebie tę myśl, ponieważ naprawdę groziło mu, że dojdzie zbyt szybko. Czuł, że jest bardzo blisko i zaraz stoczy się w otchłań hańby. W ostatniej chwili przypomniał sobie wiadomości, twarz premiera Harolda Macmillana, podobnego do morsa, wysokiego i zgarbionego, wojennego bohatera i starego pryka, kompletnie aseksualnego, idealnie nadającego się na tę okazję. Bilans handlowy, zamrożenie płac, utrzymanie ceny ustalonej przez producenta. Niektórzy przeklinali premiera za to, że oddał imperium, ale tak naprawdę nie było wyboru, biorąc pod uwagę zachodzące w Afryce przemiany. Nikt nie przyjąłby tego do wiadomości z ust laburzysty. I całkiem od niechcienia wywalił jedną trzecią swojego gabinetu w „noc długich noży”. To wymagało odwagi. „Mac Nożownik!”, brzmiał jeden z gazetowych tytułów, „Macbeth!” – inny. Poważnie myślący ludzie martwili się, że premier zasypuje społeczeństwo lawiną telewizorów, samochodów, supermarketów i innego chłamu. Dawał ludziom to, czego chcieli: chleba i igrzysk. Nowe społeczeństwo. A teraz chciał, żebyśmy dołączyli do Europy, i kto mógł z ręką na sercu stwierdzić, że nie ma racji?

Edward wreszcie ochłonał. Myśli o polityce odpłynęły i utożsamiał się ponownie ze swoim językiem, samym jego koniuszkiem. W tej samej chwili Florence uznała, że dłużej tego nie zniesie. Była przygwożdżona i obśliniona, dusiła się i robiło jej się niedobrze. I słyszała pewien dźwięk, który stale się wznosił, nie stopniowo jak w gamie, lecz powolnym glissando, i nie był dźwiękiem skrzypiec lub ludzkim głosem, lecz czymś pośrednim, wznosił się nieznośnie coraz wyżej i wyżej, nie wychodząc jednak poza słyszalny zakres, skrzypcogłos, który był niemal zrozumiały i przekazywał coś niezmiernie ważnego w syczących spółgłoskach i samogłoskach prymitywniejszych od słów. Mógł dobiegać z wnętrza pokoju lub korytarza albo brzmieć tylko w głowie Florence. Niewykluczone, że sama go wydawała. Nie obchodziło jej to – musiała się stamtąd wyrwać. Odsunęła głowę i wyzwoliła się z objęć Edwarda. Spojrzał na nią zaskoczony, z otwartymi ustami i twarzą, na której zaczął się formować wielki znak zapytania, ale ona złapała go za rękę i pociągnęła w stronę łóżka. To było z jej strony perwersyjne, a nawet chore, skoro tak naprawdę chciała uciec z pokoju, zbiec na dół drogą i usiąść samotnie na plaży. Zbawienna mogła się okazać nawet minuta samotności. Florence nie mogła się jednak oprzeć silnemu poczuciu obowiązku. Nie wolno jej było zawieść Edwarda. I była przekonana, że to wyłącznie jej wina. Gdyby wszyscy goście weselni i krewni wcisnęli się niepostrzeżenie do tego pokoju, żeby ją obserwować, z pewnością poparliby Edwarda i jego uzasadnione pilne potrzeby. Doszliby do wniosku, że coś jest z nią nie w porządku, i mieliby rację.

Wiedziała również, że jej zachowanie jest żalosne. Żeby jakoś przez to przebrnąć i uciec przed jedną okropnością, musiała podnieść stawkę i stawić czoło następnej, dając przewrotnie do zrozumienia, że sama jej pragnie. Ostatniego aktu nie można było bez końca odwlekać. Ta chwila zbliżała się, a Florence głupio przyspieszała jej nadejście. Była uwięziona w grze, której reguł nie wolno jej było kwestionować. Nie mogła podważyć logiki nakazującej prowadzić, a raczej ciągnąć Edwarda przez pokój ku otwartym drzwiom sypialni, wąskiemu łożu z baldachimem i gładkiej białej kołdrze. Nie miała pojęcia, co zrobi, gdy tam się znajdą, ale umilkł przynajmniej ten okropny dźwięk i przez kilka sekund, które mogło zająć dotarcie do łóżka, jej usta i język należały wyłącznie do niej. Mogła odetchnąć i spróbować odzyskać panowanie nad sobą.

DWA

Jak się poznali ci kochankowie i dlaczego w dzisiejszej dobie byli tacy nieśmiali i niewinni? Uważali się za zbyt wykształconych, by wierzyć w przeznaczenie, lecz mimo to wydawało im się paradoksem, że tak doniosłe spotkanie mogło być dziełem przypadku, tak bardzo zależnym od setek nieistotnych zdarzeń i decyzji. Przerażało ich, że mogło do tego spotkania w ogóle nie dojść. W pierwszym porywie miłości dziwili się często, jak mało brakowało, by ich ścieżki skrzyżowały się, kiedy mieli oboje po kilkanaście lat i Edward wypuszczał się od czasu do czasu z rodzinnych pieleszy do Oksfordu. Ekscytująca była świadomość, że musieli ocierać się o siebie na jednej ze słynnych młodzieżowych imprez, na jarmarku świętego Idziego w pierwszym tygodniu września, bądź w majowy ranek o świcie pierwszego dnia miesiąca – podczas śmiesznej i przereklamowanej imprezy, zgadzali się co do tego oboje – względnie wypożyczając łódź na przystani Cherwell, choć Edward zrobił to tylko raz; albo nieco później, kiedy w wieku kilkunastu lat popijali nielegalnie piwo w pubie Turl. Nie wykluczał nawet, że przywieziono go wraz z innymi trzynastoletnimi chłopcami na turniej wiedzy ogólnej w szkole Oxford High, gdzie dostali baty od dziewczynek, które były niesamowicie odcytane i zachowywały się niczym dorośli. A może to była inna szkoła. Florence nie pamiętała, by brała udział w tamtym turnieju, ale wyznała, że bardzo lubiła tego rodzaju rzeczy. Kiedy porównywali swoje mentalne i geograficzne mapy Oksfordu, okazało się, że niemal na siebie nachodzą.

A potem ich dzieciństwo i lata szkolne dobiegły końca i w roku 1958 oboje wybrali Londyn – on University College, ona Royal College of Music – i oczywiście nigdy się tam nie spotkali. Edward zamieszkał u owdowiałej ciotki w Camden Town i codziennie rano pedałowal do Bloomsbury. W dni powszednie studiował, w weekendy grał w piłkę nożną i pił piwo z kolegami. Do chwili gdy najadł się z tego powodu wstydu, lubił czasem brać udział w burdach przed pubem. Jedyłą uznawaną przez niego niesportową rozrywką było słuchanie muzyki – dynamicznego elektrycznego bluesa, który okazał się prawdziwym prekursorem i lokomotywą angielskiego rock and rolla. Ta muzyka stała w jego przekonaniu (które żywił przez całe życie) na znacznie wyższym poziomie aniżeli trzyminutowe musichallowe śpiewanki z Liverpoolu, które miały wkrótce podbić świat. Wieczorem często wychodził z biblioteki i szedł Oxford Street do Hundred Club, żeby posłuchać grupy Powerhouse Four, Johna Mayalla, Alexisa Kornera lub Briana Knighta. Przez trzy lata studiów wieczory w klubie stanowiły najbardziej

wyrefinowaną formę doświadczeń kulturalnych Edwarda i w nadchodzących latach skłonny był uznać, że właśnie ta muzyka ukształtowała jego upodobania i w ogóle całe życie.

Nieliczne dziewczęta, które znał – na uniwersytetach nie studiowało ich wówczas tak wiele – przyjeżdżały na zajęcia z odległych przedmieść i wracały tam po południu, przestrzegając najwyraźniej rodzicielskiego nakazu, by być w domu o szóstej. Nie mówiąc tego wprost, dawały jasno do zrozumienia, że „chowają cnotę” dla przyszłego męża. Nie było co do tego żadnych wątpliwości: żeby uprawiać seks z którąś z nich, trzeba się było ożenić. Dwaj koledzy, obaj porządni piłkarze, poszli tą drogą, ożenili się na drugim roku studiów i zniknęli z widnokregu. Jeden z tych nieszczęśników stał się tematem powtarzanej ku przestrodze opowieści. Facet zrobił dziecko dziewczynie z administracji uniwersytetu, został według opinii kolegów zaciągnięty do ołtarza i po roku ktoś zobaczył go na Putney High Street, jak popychał dziecięcy wózek, co w tamtych czasach wciąż uważane było za rzecz upokarzającą dla mężczyzny.

Pigułka była czymś, o czym pisały gazety, śmieszna nadzieja, kolejnym amerykańskim mitem. Jeden z bluesów, które Edward usłyszał w klubie, sugerował, że wszędzie dookoła, tuż poza zasięgiem wzroku, faceci w jego wieku prowadzą bujne, niezmordowane życie seksualne, które daje im wszelkiego rodzaju satysfakcje. Muzyka pop nie eksploatowała jeszcze tego tematu, bardziej śmiało były filmy, lecz w otoczeniu Edwarda mężczyźni musieli zadowolić się opowiadaniem sprośnych dowcipów, krępującymi seksualnymi przechwałkami i hałaśliwą kordialnością, potęgowaną przez pijaństwo, które dodatkowo minimalizowało szansę poznania dziewczyny.

Zmiany społeczne nigdy nie zachodzą w jednakowym tempie. Krążyły plotki, że na anglistyce i na wydziale studiów orientalnych i afrykańskich, a także w Londyńskiej Szkole Ekonomii przy Kingsway Road mężczyźni i kobiety w obcisłych czarnych dżinsach i czarnych swetrach poło uprawiają łatwy seks bez konieczności odwiedzania swoich rodziców. Podobno palili nawet skręty. Edward wybierał się czasem eksperymentalnie z wydziału historii na anglistykę, z nadzieją, że znajdzie tam raj na ziemi, ale korytarze, tablice informacyjne i kobiety wyglądały dokładnie tak samo.

Florence mieszkała po drugiej stronie miasta, niedaleko Albert Hall, w purytańskim akademiku dla dziewcząt, w którym gaszono światła o jedenastej, nie wolno było o żadnej porze przyjmować mężczyzn i studentki bez przerwy zaglądały do pokojów swoich koleżanek. Ćwiczyła przez pięć godzin dziennie i chodziła na koncerty z przyjaciółkami. Najbardziej lubiła

kameralne recitale w Wigmore Hall, zwłaszcza kwartety smyczkowe; czasami słuchała ich pięć razy w tygodniu, zarówno w porze lunchu, jak i wieczorem. Uwielbiała mroczną powagę tego miejsca, spłowiałe, łuszczące się ściany na tyłach sceny, lśniąca boazerię i czerwony gruby dywan w holu wejściowym, podobne do połączanego tunelu audytorium oraz słynną kopułę nad sceną, przedstawiająca, jak jej powiedziano, tęsknotę, jaką w rodzaju ludzkim budzi wspaniała abstrakcja muzyki, z Geniuszem Harmonii w postaci kuli wiecznego ognia. Odnosiła się z szacunkiem do czcigodnych starców, którym wyjście z taksówki zajmowało kilka minut, ostatnich wiktoriańców, kuśtykających o lasce do swoich foteli, by tam słuchać muzyki w czujnym krytycznym milczeniu, czasami z kraciastymi pledami, które układali sobie na kolanach. Te żywe skamieliny z pomarszczonymi guzowatymi czaszkami pochylonymi pokornie ku scenie symbolizowały dla niej doświadczenie i mądry osąd, względnie muzyczne mistrzostwo, któremu nie mogły już sprostać artretyczne palce. Podniecająca była świadomość, że występowało tam tylu światowej sławy muzyków i że na tej scenie zaczęły się wielkie kariery. Tu właśnie była świadkiem debiutu szesnastoletniej wiolonczelistki Jacqueline du Pre. Własne upodobania Florence nie były oryginalne, lecz intensywne. Przez dłuższy czas miała obsesję na punkcie opusu 18 Beethovena, a potem jego ostatnich wielkich kwartetów. Poza tym Schumann, Brahms, a na ostatnim roku kwartety Franka Bridge'a, Bartoka i Brittena. W ciągu trzech lat wysłuchała w Wigmore Hall wszystkich tych kompozytorów.

Na drugim roku studiów Florence zaczęła pracować w niepełnym wymiarze godzin za kulisami, robiąc herbatę wykonawcom w przestronnej zielonej sali i kucając przy wizjerze, by móc otworzyć drzwi przed schodzącym ze sceny artystą. Przewracała także kartki wykonującym kameralne utwory pianistom, a pewnego wieczoru autentycznie stała u boku Benjamin Brittena podczas koncertu pieśni Haydna, Franka Bridge'a i samego Brittena. Był tam chłopiec śpiewający dyszkantem oraz Peter Pears, który wcisnął jej dziesięcioszylingowy banknot, kiedy schodził ze sceny razem z wielkim kompozytorem. Pod mieszczącym się obok sklepem z fortepianami odkryła sale ćwiczeń, w których legendarni pianiści, tacy jak John Ogdon i Cherkassky, tłukli przez cały ranek gamy i arpeggia niczym obłąkani studenci pierwszego roku. Wigmore Hall stała się dla Florence rodzajem drugiego domu – miała wrażenie, że należy tu do niej każdy mroczny, obskurny zakamarek, nawet zimne betonowe stopnie, którymi schodziło się do łazienek.

Do jej zadań należało także sprzątanie zielonej sali i pewnego

popołudnia zobaczyła w koszu na śmieci zapisane ołówkiem uwagi interpretacyjne, wyrzucone przez kogoś z kwartetu Amadeus. Pismo było okrągłe, niewyraźne i trudne do odszyfrowania i dotyczyło pierwszych taktów kwartetu numer 15 Schuberta. Z dreszczem podniecenia odczytała na końcu słowa „Przy H do ataku!”. Nie mogła oddalić od siebie myśli, że otrzymała ważny komunikat bądź też istotną zachętę, i dwa tygodnie później, niedługo po rozpoczęciu ostatniego roku studiów, poprosiła trójkę najlepszych studentów w college'u, by wstąpili do jej własnego kwartetu. Tylko wiolonczelista, Charles Rodway, był mężczyzną, ale nie mógł wzbudzić jej zainteresowania. Studenci College of Music, oddani bez reszty muzyce, niesamowicie ambitni, nieznający się na niczym poza swoim instrumentem i jego repertuarem, nigdy jej nie pociągali. Kiedy jakaś dziewczyna z jej kręgu w akademiku nawiązywała stały związek z innym studentem, była po prostu towarzysko skończona – podobnie jak znajomi piłkarze Edwarda. Można było pomyśleć, że wstąpiła do klasztoru. Ponieważ niemożliwością było chodzić z chłopcem i jednocześnie utrzymywać kontakty z dawnymi koleżankami, Florence wolała trzymać się swojej paczki. Lubiła pogaduszki, intymność, życzliwość, to, jak dziewczęta przejmowały się czyimiś urodzinami i krzątały słodko z czajnikami, kocami i owocami, kiedy złapało się grype. Lata studiów były dla niej czasem wolności.

Mapy Londynu Edwarda i Florence prawie się nie nakładały. Ona wiedziała bardzo mało o pubach w Fitzrovii i Soho i chociaż zawsze miała taki zamiar, nigdy nie odwiedziła czytelni British Museum. On nie miał najmniejszego pojęcia o Wigmore Hall i herbaciarniach w pobliżu jej akademika i nigdy nie wybrał się na piknik do Hyde Parku, ani nie wypożyczył łodzi na Serpentine. Z dreszczem emocji odkryli, że byli jednocześnie na Trafalgar Square w 1959 roku, razem z dwudziestoma tysiącami innych demonstrantów protestujących przeciwko broni nuklearnej.

Poznali się dopiero, gdy dobiegły końca ich londyńskie studia i każde z nich wróciło do rodzinnego domu i bezwładu dzieciństwa, by spędzić tam kilka upalnych i nudnych tygodni w oczekiwaniu na wyniki egzaminów. Później właśnie to zaintrygowało ich najbardziej – jak niewiele brakowało, by w ogóle się nie spotkali. Edward mógł spędzić ten konkretny dzień podobnie jak inne – rejterując w głąb wąskiego ogrodu, siadając z książką na omszałej ławce w cieniu wielkiego wiązu i trzymając się jak najdalej od matki. Z odległości pięćdziesięciu jardów widział w oknie kuchni lub salonu jej twarz, bladą i niewyraźną, niczym jedna z malowanych przez nią akwareli. Obserwowała go uporczywie czasami przez dwadzieścia minut bez przerwy.

Starał się ją ignorować, ale jej wzrok był niczym dotyk ręki na plecach lub na ramieniu. Później słyszał, jak gra na pianinie na górze coś z *Notatnika Anny Magdaleny*, który zawierał jedyne utwory muzyki poważnej, jakie Edward znał w tamtym okresie. Po półgodzinie pojawiała się z powrotem w oknie i znów się na niego gapiła. Widząc, że czyta książkę, nigdy nie podchodziła, żeby porozmawiać. Przed wielu laty, kiedy Edward chodził jeszcze do szkoły, jego ojciec wytłumaczył jej cierpliwie, żeby nigdy nie przeszkadzała synowi w nauce.

Tego lata, po zdaniu ostatnich egzaminów, Edward interesował się fanatycznymi średniowiecznymi kultami i szalonymi, psychicznie chorymi przywódcami sekt, którzy regularnie ogłaszali się mesjaszami. Po raz drugi w tym roku czytał *W pogoni za milenium* Normana Cohna. Pobudzeni apokaliptyczno-prorocką wizją świętego Jana i symboliką Księgi Daniela, przekonani, że papież jest Antychrystem, że zbliża się koniec świata i jedynie czyści zostaną ocaleni, fanatycy grasowali po niemieckiej prowincji, przemieszczając się z miasta do miasta, masakrując Żydów, gdy tylko udało się ich znaleźć, a także księży i czasami bogaczy. Po pewnym czasie władze brutalnie rozprawiły się z ruchawką, a kilka lat później, w jakimś innym miejscu, pojawiała się kolejna sekta. Żyjący w bezpiecznej i nudnej epoce Edward z fascynacją i grozą czytał o tych powtarzających się wybuchach obłędu, dziękując losowi, że religia nie ma już generalnie tak dużego znaczenia. Zastanawiał się, czy nie otworzyć przewodu doktorskiego, jeżeli wyniki egzaminów okażą się wystarczająco dobre. To średniowieczne szaleństwo mogło się stać tematem jego pracy.

Spacerując po bukowych lasach, marzył, że napisze serię krótkich biografii zapomnianych postaci, które znalazły się w centrum ważnych historycznych wydarzeń. Pierwsza miała opowiadać o sir Robercie Careyu, człowieku, który przejechał w siedemdziesiąt godzin z Londynu do Edynburga, aby powiadomić o śmierci Elżbiety I jej sukcesora, króla Szkocji, Jakuba VI. Carey był interesującą postacią, i co nader przydatne, pisał pamiętnik. Walczył przeciwko hiszpańskiej Niezwyciężonej Armadzie, był świetnym fechtmistrem i mecenasem Trupy Lorda Szambelana. Ta forsowna jazda na północ miała mu pomóc zaskarbić sobie względy przyszłego króla, jednak zamiast tego Carey został odstawiony na boczny tor.

W bardziej realistycznym nastroju Edward myślał o znalezieniu porządnej posady, na przykład nauczyciela historii w szkole średniej, i uniknięciu poboru do wojska.

Jeśli nie miał ochoty na lekturę, szedł na ogół lipową aleją do wsi Northend, gdzie mieszkał jego szkolny kolega Simon Carter. Tego ranka jednak, zmęczony książkami, śpiewem ptaków i wiejską sielanką, Edward wyciągnął z szopy swój rozklekotany dziecinny rower, podwyższył siodełko, napompował opony i wyruszył z domu bez żadnego konkretnego planu. Miał w kieszeni jednofuntowy banknot i dwie półkoronówki i marzył o tym, żeby jechać do przodu. Z niebezpieczną szybkością, ponieważ prawie nie działały hamulce, przemknął zielonym tunelem, w dół po stromym zboczu, minął farmy Balhama i Straceya i pedałując wzdłuż żelaznego ogrodzenia Stonor Parku, postanowił, że uda się do odległego o kolejne cztery mile Henley. Dotarłszy do miasteczka, podjechał na dworzec, żeby ewentualnie wybrać się do Londynu i odwiedzić przyjaciół. Ale czekający na peronie pociąg jechał w drugą stronę, do Oksfordu. Półtorej godziny później Edward włóczył się w południowym skwarze po centrum uniwersyteckiego miasta, lekko znudzony, wyrzucając sobie, że marnuje czas i pieniądze. To była kiedyś jego lokalna stolica, źródło prawie wszystkich szczenięcych nadziei. Ale po Londynie Oksford przypominał miasteczko w miniaturze, zapyziałe i prowincjonalne, śmieszne w swoich pretensjach. Kiedy odźwierny w filcowym kapelusiku spiorunował go wzrokiem spod ocienionego wejścia do college'u miał ochotę odwrócić się i wygarnąć mu coś od serca. Zamiast tego postanowił pocieszyć się kuflem piwa. Idąc St Giles Street do pubu Eagle and Child, spostrzegł odręczny afisz informujący o zebraniu w lokalnej siedzibie Kampanii na rzecz Nuklearnego Rozbrojenia i zawahał się. Nie lubił zbyt tych pryncypialnych mityngów, ich dramatycznej retoryki i smutnej prawości. Broń masowego rażenia była oczywiście okropna i powinna zostać zakazana, ale Edward nigdy nie dowiedział się na tych zebraniach niczego nowego. Mimo to był opłacającym składki członkiem, nie miał nic innego do roboty i obudziło się w nim niejasne poczucie obowiązku. Powinien pomóc ocalić świat.

Idąc wyłożonym płytkami korytarzem, Edward dotarł do mrocznej sali z niskimi malowanymi belkami pod sufitem. W powietrzu unosił się kościelny zapach pasty do podłóg i kurzu i słychać było niski pomruk zgodnych głosów. Kiedy jego oczy przywykły do półmroku, pierwszą osobą, którą zobaczył, była Florence. Stała przy drzwiach i rozmawiała z żyłastym facetem o żółtawej twarzy, który trzymał w ręku plik ulotek. Miała na sobie białą bawełnianą sukienkę, która rozszerzała się niczym suknia balowa i była mocno ściągnięta w talii wąskim, niebieskim paskiem. Przez chwilę myślał, że jest pielęgniarką. Pielęgniarki pociągały go w abstrakcyjny, konwencjonalny sposób, ponieważ – tak przynajmniej lubił sobie wyobrażać – znały na wylot jego ciało oraz jego potrzeby. W przeciwieństwie do

większości dziewcząt, na które gapił się na ulicy lub w sklepie, Florence nie odwróciła wzroku. Jej spojrzenie było zagadkowe lub żartobliwe, być może znudzone i spragnione rozrywki. Miała dziwną twarz, z pewnością piękną, ale jakby wyrytą w marmurze. Pojedynczy snop światła z wysokiego okna po prawej stronie sprawiał, że przypominała rzeźbioną maskę, smutną, spokojną i nieprzeniknioną. Edward nie stanął w progu, lecz od razu ruszył ku niej, nie mając pojęcia, co powiedzieć. Nie był zbyt mocny w nawiązywaniu znajomości.

Patrzyła na niego i gdy zbliżył się na wystarczającą odległość, wzięła ulotkę z pliku, który trzymał jej znajomy.

– Chce pan jedną? To o bombie wodorowej zrzuconej na Oksford.

Kiedy brał od niej ulotkę, jej palec przesunął się, z pewnością nieprzypadkowo, po wewnętrznej stronie jego nadgarstka.

– Nie przychodzi mi na myśl nic innego, co chciałbym przeczytać – odparł.

Towarzyszący jej facet posłał mu jadowite spojrzenie, czekając, aż odejdzie, ale Edward nie ruszył się z miejsca.

Florence też nie mogła wytrzymać w domu, w oddalonej o piętnaście minut drogi, utrzymanej w gotyckim stylu dużej wiktoriańskiej willi przy Banbury Road. Jej matka Violet poprawiała przez cały skwarny dzień prace egzaminacyjne i nie zniosłaby w tym czasie codziennych ćwiczeń córki – powtarzanych gam, arpeggiów, dwudźwięków i testów pamięciowych. Słowem, którego używała na określenie tych wprawek, było „rzępolenie”.

– Kochanie, jeszcze nie skończyłam. Czy nie mogłabyś odłożyć tego rzępolenia na po obiedzie?

Miał to być serdeczny żart, ale Florence, która w tamtym tygodniu była niezwykle drażliwa, uznała to za kolejny dowód dezaprobaty matki wobec jej kariery, a także wrogiego stosunku do muzyki, i z tego powodu do niej samej. Wiedziała, że powinna współczuć matce. Słoń nadepnął Violet na ucho tak mocno, że nie umiała rozpoznać żadnej melodii, nawet hymnu narodowego, który tylko na podstawie kontekstu odróżniała od *Happy Birthday*. Należała do ludzi, którzy nie potrafią powiedzieć, czy jedna nuta jest niższa, czy wyższa od drugiej. Było to kalectwo podobnego rodzaju jak płaskostopie lub zajęcza wargą, ale po względnej wolności w Kensington domowa atmosfera wydawała się coraz bardziej przytłaczająca i Florence nie mogła się zdobyć na współczucie. Nie przeszkadzało jej, że codziennie rano słała łóżko – zawsze to robiła – ale wściekała się, gdy pytano ją stale przy

śniadaniu, czy to zrobiła.

Jak zwykle po dłuższej nieobecności w domu ojciec budził w niej sprzeczne emocje. Bywały chwile, gdy Florence czuła do niego fizyczny wstręt i nie mogła po prostu znieść jego widoku – lśniącej łysiny, drobnych białych dłoni, nieustannych projektów, jak rozwinąć firmę i zarobić jeszcze więcej pieniędzy. I wysokiego tenorowego głosu, jednocześnie błagalnego i władczego, z ekscentrycznie stawianymi akcentami. Nie mogła słuchać jego entuzjastycznych relacji o jachcie, który nosił śmieszna nazwę *Cukiereczek* i stał w porcie w Poole. Drażniły ją opowieści o nowym rodzaju żagla, o radiu, przez które ojciec łączył się z wybrzeżem, oraz o specjalnym lakierze jachtowym. Kiedyś zabierał ją ze sobą w rejs i kilka razy, gdy miała dwanaście i trzynaście lat, dopłynęli aż do Carteret koło Cherbourga. Nigdy nie rozmawiali o tych wycieczkach. Potem już jej nie zapraszał i bardzo ją to cieszyło. Jednakże czasami w przyływie opiekuńczych uczuć i pełnej skruchy miłości podchodziła z tyłu do jego krzesła, obejmowała za szyję, całowała w czubek łysiny i muskała ją nosem, napawając się jego czystym zapachem. Robiła to wszystko, a potem nienawidziła się za to. Młodsza siostra również działała jej na nerwy – swoim nowym cockneyowskim akcentem i wystudiowaną ignorancją przy fortepianie. Jak miały spełnić życzenie ojca i zagrać dla niego marsz Sousy, skoro Ruth udawała, że nie potrafi utrzymać tempa?

Florence jak zawsze była mistrzynią w ukrywaniu swoich uczuć przed rodziną. Nie wymagało to dużego wysiłku – kiedy tylko można było to zrobić w nieostentacyjny sposób, wychodziła po prostu z pokoju i potem cieszyła się, że nie powiedziała nic, co uraziłoby lub zraniło rodziców albo siostrę; w przeciwnym razie nie spałaby przez całą noc gnębiona poczuciem winy. Stale powtarzała sobie, jak bardzo kocha swoją rodzinę, i to jeszcze skuteczniej zamykało jej usta. Wiedziała bardzo dobrze, że ludzie rozchodzą się, nawet w burzliwy sposób, a potem godzą. Nie wiedziała jednak, jak zacząć kłótnię, która oczyściłaby atmosferę, i nie wierzyła, by można było cofnąć lub zapomnieć raz wypowiedziane słowa. Lepiej niczego nie komplikować. A skoro tak, mogła winić tylko samą siebie, czując się jak ta postać z gazetowego dowcipu, której para tryskała z uszu.

Florence miała też inne zmartwienia. Czy powinna przyjąć angaż w prowincjonalnej orkiestrze – mogła się uznać za szczęściarę, jeżeli zatrudnią ją w orkiestrze symfonicznej w Bournemouth – czy też pozostać jeszcze rok na utrzymaniu rodziców, tak naprawdę ojca, i przygotować kwartet do pierwszego występu? To wiązałoby się z koniecznością zamieszkania w Londynie, a wołała nie prosić Geoffreya o dodatkowe pieniądze.

Wiolonczelista Charles Rodway zaproponował jej gościnny pokój w domu swoich rodziców, ale był ponurym, tłamszącym w sobie uczucia facetem, który posyłał jej długie, znaczące spojrzenia znad pulpitu. Mieszkając tam, byłaby zdana na jego łaskę. Wiedziała o wolnym etacie – który śmiało mogła dostać – w grającym w stylu Palm Court terrecie, w modnym hotelu na południe od Londynu. Nie miała skrupułów co do rodzaju muzyki, który musiałyby grać – i tak nikt by tego nie słuchał – ale jakiś instynkt lub zwykły snobizm powstrzymywał ją przed zamieszkaniem w Croydon lub w jego pobliżu. Tłumaczyła sobie, że w podjęciu decyzji pomogą jej wyniki egzaminów i podobnie jak Edward, nudzący się pośród leśnych pagórków piętnaście mil dalej na wschód, spędzała dni w czymś w rodzaju przedpokoju, czekając niespokojnie, aż rozpocznie się jej życie. Świeżo po studiach, mało przypominająca dawną uczennicę, dojrzała pod wieloma względami, czego nikt w domu najwyraźniej nie zauważał, Florence uświadomiła sobie, że jej rodzice mają raczej kontrowersyjne poglądy polityczne i przynajmniej w tej dziedzinie pozwoliła sobie na otwarty spór w trakcie długich debat prowadzonych przy rodzinnym stole w letnie wieczory. Stanowiło to rodzaj wentyla, lecz równocześnie potęgowało jej ogólne zniecierpliwienie. Violet autentycznie zainteresowała się członkostwem swojej córki w Kampanii na rzecz Nuklearnego Rozbrojenia, lecz to, że była filozofką, wcale nie ułatwiało życia Florence. Irytował ją spokój, a dokładniej rzecz biorąc, smutek matki, która wysłuchawszy córki, przedstawiła własną opinię. Oświadczyła, że Związek Radziecki jest cyniczną tyranią, okrutnym i bezwzględny państwem, odpowiedzialnym za ludobójstwo na skalę, która przewyższa to, co zrobiły nazistowskie Niemcy, oraz za rozległy, słabo rozpoznany system politycznych obozów karnych. Mówiła o procesach pokazowych, cenzurze, braku praworządności. Związek Radziecki deptał ludzką godność i podstawowe prawa człowieka, bezwzględnie okupował sąsiednie kraje – Violet miała wśród akademickich znajomych Węgrów i Czechów – był ekspansjonistyczny z samej swojej natury i trzeba było mu się przeciwstawić, tak jak przeciwstawiono się Hitlerowi. A jeżeli nie możemy mu się przeciwstawić, ponieważ nie mamy czołgów i ludzi, by bronić północnoniemieckiej równiny, musimy go chociaż powstrzymać. Kilka miesięcy później budowa muru berlińskiego miała potwierdzić w pełni słuszność tych zarzutów: komunistyczne imperium stało się jednym wielkim więzieniem.

Florence była głęboko przekonana, że Związek Radziecki mimo wszystkich swoich wad – toporności, nieskuteczności i z pewnością kompleksu obłożonej twierdzy, lecz przecież nie z gruntu złych zamiarów – jest w istocie rzeczy siłą, która przynosi światu wiele dobrego. Zawsze

walczył o wyzwolenie uciśnionych i przeciwstawiał się faszyzmowi oraz ekscesom chciwego kapitalizmu. Porównanie z nazistowskimi Niemcami wzbudziło we Florence odrazę. W argumentach Violet rozpoznała typową retorykę proamerykańskiej propagandy. Zawiodła się na matce i powiedziała jej to.

Ojciec reprezentował poglądy, jakich można się było spodziewać po biznesmenie. Po wypiciu pół butelki wina skłonny był używać ostrzejszych słów: Harold Macmillan był głupcem, ponieważ oddał imperium bez walki, cholernym głupcem, ponieważ nie narzucał ograniczeń płacowych związkom, i żałośnie cholernym głupcem, ponieważ kłaniał się nisko Europejczykom i błagał, by pozwolili mu wejść do swojego wrednego klubu.

Florence trudniej było się spierać z Geoffreyem. Nigdy nie mogła się pozbyć odczuwanego wobec niego poczucia niejasnego długu. W dzieciństwie dbano o nią tak, jak dba się zwykle o brata lub syna. Zeszłego lata ojciec woził ją regularnie po pracy swoim humberem, żeby mogła zdać egzamin na prawo jazdy zaraz po dwudziestych pierwszych urodzinach. Oblała. Lekcje gry na skrzypcach od piątego roku życia, z letnimi kursami w specjalnej szkole, lekcje jazdy na nartach i tenisa, a nawet lekcje latania, na które się nie zgodziła. No i podróże: tylko we dwójkę, w Alpy, Sierra Nevada i Pireneje, a także dwudniowe wycieczki w interesach do miast europejskich, gdzie ona i Geofirey zawsze zatrzymywali się w najwytworniejszych hotelach. Wychodząc z domu zaraz po południu, po cichym sporze z matką na temat jakiejś domowej błahostki – Violet nie spodobało się to, jak jej córka używała pralki – Florence powiedziała, że idzie wysłać list i nie będzie jadła lunchu. Skręciwszy na południe w Banbury Road, ruszyła w stronę centrum miasta, mając zamiar powłóczyć się po targu, gdzie być może spotkać jakąś szkolną koleżankę. Mogła też kupić tam bułkę i zjeść ją na błoniach Christ Church, w cieniu przy rzece. Spostrzegłszy afisz na St Giles Street, ten sam, który miał za kwadrans zobaczyć Edward, weszła bez zastanowienia do środka. Myślała cały czas o Violet. Po spędzeniu tylu lat w towarzystwie czułych przyjaciółek w akademiku zauważyła po powrocie do domu, jak powściągliwie zachowuje się jej matka. Nigdy nie pocałowała ani nie objęła Florence, nawet kiedy ta była mała. Violet prawie w ogóle nie dotykała córki. Może to i dobrze. Była chuda i koścista i Florence raczej nie zależało na jej karesach. Za późno było teraz zresztą zaczynać. Już kilka chwil po opuszczeniu słonecznej ulicy Florence uświadomiła sobie, że wchodząc do sali, popełniła błąd. Kiedy jej oczy przywykły do półmroku, rozejrzała się dookoła z nikłym zainteresowaniem, którym równie dobrze mogłaby obdarzyć kolekcję sreber w muzeum Ashmolean. Nagle z ciemności wyłonił

się i dopadł ją chudy, dwudziestojednoletni okularnik z North Oxford, którego nazwiska zapomniała. Bez zbędnych wstępów zaczął opisywać konsekwencje wybuchu bomby wodorowej nad Oksfordem. Przed niespełna dziesięciu laty, kiedy mieli oboje po trzynaście lat, zaprosił ją do swojego domu w Park Town, trzy przecznice dalej, żeby mogła podziwiać nowy wynalazek, odbiornik telewizyjny. Na obramowanym mahoniowymi drzwiczkami, małym, szarym, zamglonym ekranie widać było mężczyznę w smokingu, siedzącego za biurkiem w środku czegoś, co przypominało śnieżycę. Florence uznała, że to śmieszne urządzenie nie ma przyszłości, ale chłopak – John? David? Michael? – uważał widać, że jest mu winna przyjaźń i oto pojawił się ponownie, domagając się spłaty długu.

Dwieście egzemplarzy ulotek, które trzymał pod pachą, przesądzało o losie Oksfordu. Chciał, żeby pomogła mu rozkolportować je na mieście. Kiedy się pochylił, poczuła bijący w nozdrza zapach odżywki do włosów. Jego pergaminowa skóra lśniła żółtawo w przyćmionym świetle, grube soczewki okularów redukowały oczy do wąskich czarnych szparek. Florence, organicznie niezdolna do nieuprzejmości, wykrzywiła usta w uważnym grymasie. Było coś fascynującego w wysokich chudych mężczyznach, w tym, jak ich kości policzkowe i jabłka Adama zaznaczały się wyraźnie pod skórą, w ich ptasich twarzach i drapieżnie pochylonych sylwetkach. Krater, który opisywał chłopak, miał mieć pół mili średnicy i sto stóp głębokości. Radioaktywność sprawi, że Oksford pozostanie niedostępny przez dziesięć tysięcy lat. Zaczęło to brzmieć jak samospełniające się proroctwo. W rzeczywistości jednak miasto eksplodowało zielenią wczesnego lata, słońce ogrzewało wapien z Cotswold, błonia Christ Church były na pewno cudowne. Za wąskim ramieniem chłopaka Florence widziała krzątających się w półmroku, ustawiających krzesła ludzi, i nagle zobaczyła zmierzającego w jej stronę Edwarda.

Kilka tygodni później, innego upalnego dnia, ona i Edward wynajęli łódź i popłynęli w górę rzeki Cherwell aż do Vicky Arms, a potem dryfowali z powrotem do przystani. Po drodze dobili do kępy głogu i położyli się w głębokim cieniu na brzegu, Edward na plecach, żując żdźbło trawy, Florence na boku, z głową wspartą o dłoń. W przerwach rozmowy słuchali chlupotania drobnych fal o burtę i stłumionych stuknięć, kiedy łódź uderzała o pień, do którego przycumowali. Wiatr niósł kojące, ulotne odgłosy ruchu kołowego na Banbury Road. Jakiś drozd śpiewał misterną pieśń, powtarzając dokładnie każdą frazę, a potem umilkł w upale. Edward miał się różnych tymczasowych zajęć, głównie jako gospodarz w klubie krykietowym. Ona poświęcała cały czas kwartetowi. Niełatwo było im

znaleźć wolną chwilę i tym cenniejsze były spędzone wspólnie godziny. Mieli je do dyspozycji w to sobotnie popołudnie. Wiedzieli, że to jeden z ostatnich dni bujnego lata – zaczynał się już wrzesień; liście i trawa, choć w dalszym ciągu zdecydowanie zielone, były już nieco sfatygowane. W rozmowie wrócili do obrosniętych prywatną mitologią chwil, gdy zobaczyli się po raz pierwszy.

– Bo nie miałaś marynarki – stwierdziła w końcu Florence w odpowiedzi na pytanie, które Edward zadał kilka minut wcześniej.

– I co z tego?

– Uhm... Luźna biała koszula z zawiniętymi do łokci rękawami i połami, które wystawały prawie ze spodni...

– Nonsens.

– Szare flanelowe spodnie zszyte na kolanie i brudne, przetarte z przodu tenisówki. I długie włosy zakrywające niemal całe uszy.

– Co jeszcze?

– Bo wyglądałeś trochę dziko, jakbyś brał udział w bójce.

– Rano jechałem rowerem.

Florence uniosła się na łokciu, żeby przyjrzeć się lepiej jego twarzy, i popatrzyli sobie prosto w oczy. Było to dla nich wciąż nowe i zawrotne doznanie: patrzeć przez minutę w oczy drugiej dorosłej osoby, bez zakłopotania i skrępowania. Edward miał wrażenie, że jeszcze nigdy nie byli tak blisko uprawiania seksu. Wyjął z ust źdźbło trawy.

– Straszny z ciebie kmiotek – mruknęła.

– No powiedz. Co jeszcze?

– No dobrze. Bo stanąłeś w drzwiach i popatrzyłeś na wszystkich tak, jakby to miejsce należało do ciebie. Dumnie. Nie, chciałam powiedzieć śmiało.

Edward roześmiał się.

– Byłem na siebie zły – stwierdził.

– A potem mnie zobaczyłeś – ciągnęła. – I zdecydowałeś, że zmusisz mnie do odwrócenia wzroku.

– Nieprawda. Ty zerknęłaś na mnie i zdecydowałaś, że nie jestem wart drugiego spojrzenia.

Florence pocałowała go, niezbyt głęboko, ale prowokacyjnie – tak mu

się w każdym razie wydawało. W tamtym początkowym okresie nie wykluczał jeszcze możliwości, iż jest jedną z tych legendarnych dziewczyn z porządnych domów, która chciałaby z nim pójść na całość, i to szybko. Ale z pewnością nie na dworze, przy tym dość uczęszczanym szlaku wodnym.

Przyciągnął ją do siebie tak blisko, że ich nosy prawie się dotknęły i twarze znalazły się w głębszym cieniu.

– I pomyślałaś wtedy, że to miłość od pierwszego wejrzenia? – zapytał.

Powiedział to lekkim, drwiącym tonem, lecz Florence postanowiła potraktować go serio. Obawy, które miały ją ogarnąć, były jeszcze daleko, lecz mimo to zastanawiała się chwilami, ku czemu to wszystko zmierza. Miesiąc wcześniej powiedzieli sobie, że się kochają, i było to dla niej coś ekscytującego, a jednocześnie stało się powodem nieprzespanej nocy, niejasnego lęku, że postąpiła pochopnie, pozbyła się czegoś ważnego, oddała w pacht coś, co w rzeczywistości wcale do niej nie należało. Było to jednak zbyt interesujące, zbyt nowe, zbyt pochlebne, zbyt podnoszące na duchu, by zdołała się opierać, i mogła się tylko coraz bardziej pograżać. Teraz, na brzegu rzeki, w sennym skwarze jednego z ostatnich dni lata, skupiła się na tamtej chwili, gdy Edward zawahał się w progu sali; na tym, co zobaczyła i poczuła, spoglądając w jego stronę.

Żeby wspomóc pamięć, odsunęła się na bok, wyprostowała i odrywając wzrok od jego twarzy, przyjrzała się błotnistemu zielonemu nurtowi. Scena straciła nagle swoją sielankowość. W górze rzeki pojawił się znajomy widok dwóch walczących ze sobą, szczepionych pod kątem prostym przeładowanych łodzi, które pokonywały zakręt przy moczarach z typowymi piskami, pirackimi wrzaskami i chlupotem wody. To byli studenci uniwersytetu, całkiem świadomie zachowujący się jak wariaci. Przypomnieli jej, dlaczego pragnęła uciec daleko stąd. Już w szkole ona i jej koleżanki uważały studentów za utrapienie, infantylnych najeźdźców rodzinnego miasta.

Próbowała bardziej się skupić. Edward miał wówczas na sobie nietypowy strój, ale zauważyła przede wszystkim jego twarz – delikatny owal, wysokie zamyślane czoło, ciemne łukowate brwi i nieruchomy wzrok, którym objął całe zgromadzenie i który zatrzymał na niej, jakby wcale go tam nie było, lecz tylko wyobrażał sobie to miejsce, jakby mu się przyśniła. Pamięć podsuwała jej niepotrzebnie to, czego nie zdążyła jeszcze usłyszeć – lekki wiejski zaśpiew, zbliżony do miejscowego oksfordzkiego akcentu, z lekką domieszką West Country.

– Zaciekawileś mnie – powiedziała, ponownie na niego spoglądając.

Lecz jej uczucia w tamtym momencie były jeszcze bardziej nieokreślone. Nie myślała wtedy w ogóle o tym, żeby zaspokoić swoją ciekawość. Nie sądziła, że poznają się bliżej i że powinna w ogóle coś robić, by to umożliwić. Tak jakby własna ciekawość nie miała z nią nic wspólnego – jakby tak naprawdę to jej nie było na tej sali. Zakochanie ujawniło przed nią, jaka jest dziwna, jak notorycznie zamyka się w codziennych rozmyślaniach. Za każdym razem gdy Edward pytał, jak się czuje i o czym myśli, udzielała nieporadnych odpowiedzi. Czyżby dopiero teraz odkryła, że jest pozbawiona pewnego prostego mentalnego drygu, który mają wszyscy poza nią, mechanizmu tak zwykłego, że nikt o nim nigdy nie wspomina, bezpośrednioj zmysłowej więzi z ludźmi i wydarzeniami oraz z własnymi potrzebami i pragnieniami? Przez te wszystkie lata żyła zamknięta w sobie, i co dziwne, odizolowana... od samej siebie, nigdy nie chcąc i nie śmiejąc spojrzeć wstecz. W tej rozbrzmiewającej echem sali jej problemy z Edwardem pojawiły się już w tych pierwszych kilku sekundach, w pierwszej wymianie ich spojrzeń.

Urodził się w lipcu 1940 roku, w tym samym tygodniu, kiedy zaczęła się bitwa o Anglię. Jego ojciec, Lionel, powiedział mu później, że tamtego lata historia na dwa miesiące wstrzymała oddech i nie wiadomo było, czy pierwszym językiem Edwarda nie stanie się niemiecki. W swoje dziesiąte urodziny chłopiec odkrył, że była to tylko metafora – w całej okupowanej Francji dzieci w dalszym ciągu mówiły po francusku. Turville Heath nie było nawet osadą, lecz luźnym skupiskiem domów rozrzuconych pośród lasów i błoni, na szerokim stoku nad wioską Turville. Pod koniec lat trzydziestych oddalony o trzydzieści mil północno-wschodni, londyński kraniec Chiltern Hills został już zaanektowany przez rozrastającą się metropolię, która przekształciła go w podmiejski raj. Jednak na południowo-zachodnim krańcu, na południe od Beacon Hill, gdzie pewnego dnia sznur pędzących autostradą samochodów i ciężarówek miał płynąć w kierunku Birmingham przez wyrwę w kredowych skałach, krajobraz jeszcze się nie zmienił.

Niedaleko domku państwa Mayhew, przy końcu traktu biegnącego stromym parowem przez bukowy las, leżała dolina Wormsley – zdaniem pewnego będącego tu przejazdem autora „cudowny ustronny zakątek” – pozostająca od wieków w rękach tej samej rolniczej rodziny Fane'ów. W roku 1940 wodę do domu wciąż czerpano ze studni i wnoszono do zbiornika na strychu. Do rodzinnej legendy przeszedł fakt, że kiedy cały kraj przygotowywał się do odparcia hitlerowskiej inwazji, narodziny Edwarda uznane zostały przez lokalne władze za nagły wypadek, kryzys w dziedzinie

higieny. Zwerbowano mężczyzn z kilofami i łopatami, raczej starszych mężczyzn, i we wrześniu tego roku, w tym samym czasie gdy zaczęły się bombardowania Londynu, doprowadzono do domu bieżącą wodę z głównego wodociągu biegnącego wzdłuż drogi do Northend.

Lionel Mayhew był dyrektorem szkoły podstawowej w Henley. Wczesnym rankiem pedałował pięć mil do pracy i pod koniec dnia prowadził swój rower z powrotem pod górę na wrzosowiska, z pracami domowymi i innymi papierami w wiklinowym koszyku przymocowanym do kierownicy. W roku 1945, kiedy urodziły się bliźniaczki, kupił w Christmas Common za jedenaście funtów używane auto od wdowy po oficerze marynarki, który zginął w konwojach na Atlantyku. W tamtym czasie samochód, przeciskający się wąskimi drogami między furami i pociągowymi końmi, stanowił dość rzadki widok. Racjonowanie benzyny sprawiło jednak, że Lionel dość często przesiadał się z powrotem na rower.

We wczesnych latach pięćdziesiątych to, co robił po powrocie do domu, trudno było uznać za typowe zajęcia pracującego mężczyzny. Znosił od razu swoje papiery do małego saloniku przy frontowych drzwiach, który służył mu za gabinet, i starannie je rozkładał. Był to jedyny pokój w całym domu, w którym panował porządek, i Lionel starał się chronić swoje życie zawodowe przed domowym chaosem. Następnie zaglądał do dzieci – Edward, Anne i Harriet uczęszczali do wiejskiej szkoły w Northend i wracali sami do domu. Spędzał kilka minut sam na sam z Marjorie, po czym szedł do kuchni przygotować podwieczorek i posprzątać po śniadaniu.

Dopiero o tej porze, gdy szykowana była kolacja, można było zająć się domem. Kiedy dzieci trochę podrosły, starały się pomóc, ale robiły to niedbale. Zamiatano tylko odsłonięte, niezastawione gratami części podłogi, porządkowano wyłącznie rzeczy potrzebne na następny dzień – przede wszystkim ubrania i książki. Nigdy nie słano łóżek, rzadko zmieniano pościel. Nigdy też nie czyściło się umywalki w zagraconej lodowatej łazience – można było wyryć paznokciem własne imię w pokrywającym ją twardym szarym osadzie. Dość trudno było sprostać najpilniejszym potrzebom – wnosić węgiel do kuchni, zimą podtrzymywać ogień w kominku, znaleźć w miarę czyste ubrania dla dzieci. Pranie robiło się w niedzielę po południu i trzeba było w tym celu rozpalić ogień pod kotłem. W deszczowe dni wyprane rzeczy rozwieszane były na meblach w całym domu. Prasowanie przekraczało możliwości Lionela – wszystko było wygładzane dłonią i składane. Zdarzały się okresy, kiedy pracami domowymi zajmowała się któraś z sąsiadek, ale żadna nie zagrzała dłużej miejsca. Skala zadań była zbyt wielka, a miejscowe panie miały na głowie swoje własne domy.

Rodzina Mayhew jadła kolację przy składanym sosnowym stole, wciśniętym w kuchenny chaos. Zmywanie zawsze zostawiano na później. Po posiłku wszyscy dziękowali Marjorie, która oddalała się do swoich zajęć, a dzieci sprzątały ze stołu, rozkładały na nim książki i odrabiały pracę domową. Lionel szedł do gabinetu, żeby sprawdzić zeszyty, wykonać papierkową robotę i paść fajkę, posłuchać radia. Mniej więcej półtorej godziny później wychodził, żeby zobaczyć, czy dzieci odrobiły lekcje, i położyć je do łóżek. Zawsze im czytał, inne opowiadania Edwardowi, inne dziewczynkom. Zasypiając, dzieci często słyszały, jak zmywa naczynia na dole.

Pocziwy, przysadzisty mężczyzna, z mlecznoniebieskimi oczyma, włosami jak kolor piasku i krótkim żołnierskim wąsikiem, był zbyt stary, by powołano go do wojska – kiedy urodził się Edward, Lionel miał trzydzieści osiem lat. W przeciwieństwie do innych ojców rzadko podnosił głos czy używał paska. Oczekiwał, że dzieci będą go słuchać, i one, wyczuwając być może spoczywające na nim brzemie obowiązków, robiły to. Panujące w domu warunki wydawały im się czymś oczywistym, mimo że często odwiedzały kolegów i miały okazję poznać miłe, odziane w fartuchy matki, które rządziły żelazną ręką w swoich królestwach. Edward, Anne i Harriet nigdy nie sądzili, że mają mniej szczęścia od swoich przyjaciół. Wszystko spoczywało na barkach Lionela.

Dopiero w wieku czternastu lat Edward uświadomił sobie, że z matką jest coś nie w porządku. Nie pamiętał momentu, gdzieś koło swoich piątych urodzin, kiedy nagle się zmieniła. Podobnie jak siostry dorastał, nie dostrzegając jej szaleństwa. Była upiorną postacią, wymizerowanym łagodnym duszkiem z potarganymi brązowymi włosami, który snuł się po domu przez całe ich dzieciństwo, czasami komunikatywnym i nawet pełnym czułości, innym razem pochłoniętym bez reszty swoimi pasjami i projektami. O każdej porze dnia, a nieraz nawet w środku nocy, można było usłyszeć, jak zмага się z tymi samymi prostymi melodiami na fortepian, fałszując niezmiennie w tych samych miejscach. Często wychodziła do ogrodu i krzątała się przy bezkształtnej grządce, którą urządziła pośrodku wąskiego trawnika. Do ogólnego bałaganu w znacznym stopniu przyczyniało się jej malowanie, zwłaszcza akwarele – widoki odległych wzgórz i kościelnej wieży, obramowane stojącymi na pierwszym planie drzewami. Nigdy nie umyła pędzla, nie wylała wody ze słoików po dżemie, nie odłożyła na miejsce farb i szmatek ani nie zebrała razem swoich prac – z których żadna nie była ukończona. Przez cały dzień, długo po tym, jak odeszła jej ochota na malowanie, nosiła swój malarski kitel. Kolejnym hobby – zaproponowanym

być może kiedyś w ramach terapii zajęciowej – było wycinanie ilustracji z czasopism i wklejanie ich do zeszytów. Pracując, lubiła przemieszczać się po domu i wtedy wszędzie pod stopami wały się papierowe wycinki, wdeptywane w brudne deski podłogi. Pędzle do kleju zastygały w otwartych słoikach, które zostawiała na krzesłach i parapetach okien. Marjorie zajmowała się poza tym obserwowaniem ptaków z okna salonu, szydełkowaniem, haftem i aranżacją kwiatów, i wszystko to uprawiała z tą samą senną, chaotyczną intensywnością. Na ogół zachowywała milczenie, choć czasami słyszeli, jak mruczy pod nosem, jakby wykonywała trudne zadanie: „Dobrze... dobrze... dobrze...”. Edward nie zastanawiał się nigdy, czy jest szczęśliwa. Bywały z pewnością chwile, kiedy dręczyły ją niepokój i napady paniki. Łapała wtedy kurczowo oddech, podnosiła i opuszczała chude ramiona i skupiała nagle całą uwagę na dzieciach, na jakiejś ich konkretnej potrzebie, która musiała zostać natychmiast spełniona. Edward miał zbyt długie paznokcie, trzeba było zaszyć rozdartą sukienkę i wykapać bliźniaczki. Marjorie zstępowała ze swoich wyżyn, nieudolnie się krzątając, upominając ich, czule obejmując, całując po twarzach bądź też robiąc wszystko naraz, nadrabiając stracony czas. Przypominało to niemal miłość i dość chętnie jej się poddawali. Wiedzieli jednak z doświadczenia, że rychło staną matce na przeszkodzie domowe realia; nie uda się odnaleźć nożyczek do paznokci albo pasującej nitki, a zagrzanie wody na kąpiel będzie wymagało kilkugodzinnych przygotowań. I matka wkrótce się oddali, wracając do swojego świata.

Źródłem tych napadów mógł być jakiś fragment jej dawnej osobowości, próbujący zachować kontrolę, rozpoznający częściowo jej chorobę, pamiętający niejasno poprzednią egzystencję i uświadamiający sobie nagle z przerażeniem skalę katastrofy. Przeważnie jednak Marjorie żyła szczęśliwie w przekonaniu – będącym w istocie misternym i skomplikowanym urojeniem – że jest oddaną żoną i matką, że dom funkcjonuje gładko dzięki jej wysiłkom i że kiedy już upora się ze wszystkimi obowiązkami, zasługuje na chwilę dla siebie. Chcąc ograniczyć do minimum przykre momenty i nie budzić tego strzępu jej dawnej świadomości, Lionel i dzieci podtrzymywali tę iluzję.

– Mam nadzieję, że będzie wam smakowało. Chciałam spróbować czegoś nowego – potrafiła powiedzieć słodko na początku posiłku, przyglądając się efektem pracy męża i odgarniając niesforny włos z twarzy.

Było to zawsze coś starego, ponieważ zestaw przepisów, jakie znał Lionel, był bardzo skromny, lecz nikt nie podważał słów matki i pod koniec każdego posiłku ojciec i dzieci rytualnie jej dziękowali. Był to rodzaj fantazji,

który podnosił wszystkich na duchu. Kiedy Marjorie oznajmiała, że robi listę zakupów, po które trzeba się wybrać na targ w Watlingtonie, względnie że ma do wyprasowania więcej pościeli, niż potrafi zliczyć, w polu ich widzenia pojawiał się równoległy świat jasnej normalności. Ale iluzja mogła być podtrzymywana tylko wtedy, kiedy się o niej nie dyskutowało. Dorastali w jej ramach, obojętnie traktując absurdy, ponieważ nie zostały nigdy zdefiniowane.

Udawało im się jakoś chronić Marjorie przed odwiedzającymi ich kolegami i chronili kolegów przed nią. Miejscowi zgadzali się na ogół – w każdym razie nic więcej nie docierało do Edwarda i bliźniaczek – że pani Mayhew jest ekscentryczną i czarującą damą, prawdopodobnie genialną artystką. Rzeczy, które słyszeli z ust matki, nie wprawiały ich w zakłopotanie, chociaż wiedzieli, że nie mogły być prawdziwe. Nie miała przed sobą pracowitego dnia, nie robiła przez całe popołudnie dzemu jagodowego. To nie były kłamstwa, lecz przejaw tego, czym naprawdę była ich matka, i musieli ją chronić – w milczeniu.

Dlatego Edwardowi wryło się mocno w pamięć tych kilka minut, gdy w wieku czternastu lat znalazł się z ojcem w ogrodzie i usłyszał po raz pierwszy, że jego matka ma uszkodzony mózg. Samo to określenie było obrazą, bluźnierczą zachętą do niełojalności. Uszkodzony mózg. Coś jest nie w porządku z jej głową. Gdyby ktoś inny powiedział coś takiego o jego matce, Edward byłby zobowiązany spuścić mu manto. Słuchając jednak we wrogim milczeniu tych kalumni, czuł, jak z jego ramion spada pewne brzemie. Oczywiście, że to prawda, a trudno walczyć z prawdą. Mógł od razu zacząć tłumaczyć sobie, że zawsze o tym wiedział.

Edward i ojciec stali pod wielkim wiązem. Był gorący wilgotny dzień pod koniec maja. Po kilku deszczowych dniach wszystko zapowiadało nadejście wczesnego lata – brzęczenie ptaków i owadów, zapach leżącej w rowach przed domem skoszonej trawy, bujna spleciona zieleń ogrodu, złączona niemal z rosnącym za płotem lasem, pyłki wywołujące u ojca i syna pierwsze objawy kataru siennego i pasma światła słonecznego i cie nia, kołyszące się w powiewach wiatru na łące u ich stóp. W tych okolicznościach Edward słuchał opowieści ojca i próbował wyobrazić sobie mroźny zimowy dzień w grudniu 1944 roku, zatłoczony peron na dworcu w Wycombe i ubraną w palto matkę, która trzymając w ręku torbę ze skromnymi wojennymi prezentami na Gwiazdkę, dała krok do przodu. Na stację wjeżdżał właśnie pociąg z Marylebone, którym chciała pojechać do Princes Risborough i Watlingtonu, gdzie miała się spotkać z Lionelem. Edwardem opiekowała się w domu kilkunastoletnia córka sąsiadów.

Istnieje pewien rodzaj zadufanych podróżnych, którzy lubią otwierać drzwi przedziału tuż przed zatrzymaniem się pociągu i wysiadać w biegu. Niewykluczone, że opuszczając wagon na chwilę przed końcem podróży, akcentują swoją niezależność – nie są bezwolnym frachtem. Może ożywia ich wspomnienie młodości, a może po prostu tak bardzo im się spieszy, że ważna jest każda sekunda. Pociąg zahamował, możliwe, że trochę zbyt mocno, i podróżny puścił klamkę drzwi. Ciężka metalowa krawędź uderzyła Marjorie Mayhew w czoło z wystarczającą siłą, by rozbić jej czaszkę i zdewastować w jednej chwili osobowość, inteligencję i pamięć. Przeleżała w śpiączce niecały tydzień. Podróżny, opisany przez naocznych świadków jako dystyngowany sześćdziesięcioletni dżentelmen z City, z melonikiem, zwiniętym parasolem i gazetą, ulotnił się z miejsca zdarzenia, zostawiając leżącą na ziemi pośród porzucanych zabawek młodą ciężarną kobietę, i nietrapiiony wyrzutami sumienia – albo z nadzieją, że nie będą go trapić, dodał Lionel – zniknął na zawsze pośród uliczek Wycombe.

Ten dziwny moment w ogrodzie, zwrotny punkt w życiu Edwarda, pozostawił w jego umyśle szczególne wspomnienie ojca. Lionel trzymał w dłoni fajkę, której nie zapalił aż do końca swojej opowieści. Jego palec wskazujący był przez cały czas zaciśnięty wokół główki, cybuch znajdował się kilkanaście cali od kącika ust. Ponieważ była niedziela, nie ogolił się – nie był wierzący, lecz zachowywał pozory w szkole. Lubił mieć ten jeden dzień w tygodniu tylko dla siebie. Nie goląc się w niedzielę rano, co stanowiło dziwactwo u kogoś na jego stanowisku, świadomie odsuwał od siebie wszelkie publiczne zobowiązania. Ubrany był w białą koszulę bez kołnierzyka, niewygładzoną nawet dłonią. Wysławiał się ostrożnie, z namaszczeniem – musiał przeciwiczyć wcześniej w myślach tę rozmowę. Kiedy mówił, jego spojrzenie przesunęło się czasem z twarzy syna na dom, jakby chciał bardziej precyzyjnie opisać chorobę Marjorie albo sprawdzić, czy nie idą do nich dziewczynki. Na koniec położył dłoń na ramieniu Edwarda – dość niezwykły gest – i przeszedł z nim kilka jardów do samego końca ogrodu, gdzie rozchwierutane sztachety płotu zniknęły w bujnych zaroślach. Dalej było pięcioakrowe pole, na którym nie pasły się owce, z dwoma rozwidlającymi się niczym drogi łąkami jaskrów.

Stali obok siebie, gdy Lionel zapalił w końcu fajkę, a Edward z charakterystyczną dla jego wieku zdolnością adaptacji przechodził od szoku do zrozumienia. Oczywiście, że zawsze o tym wiedział. Pozostawał w stanie niewinności, ponieważ brakowało nazwy, która określiłaby chorobę Marjorie. Nigdy nie myślał o matce jako o kimś chorym, ale przecież zawsze zdawał sobie sprawę, że jest inna. Sprzeczność została rozwiązana dzięki

znalezieniu nazwy, dzięki mocy słów, które uwidaczniają to, co niewidoczne. Uszkodzenie mózgu. Ten termin wykluczał intymność, oceniał chłodno matkę zgodnie z powszechnymi standardami, które wszyscy rozumieli. Otwierała się nagle pusta przestrzeń, nie tylko między Edwardem a jego matką, lecz także między nim a bezpośrednim otoczeniem. Czuł, jak istota tego, czym był, ukryte jądro nigdy wcześniej przez niego nieanalizowane, nabiera naglej kanciastej odrębności, o której nikt inny nie powinien wiedzieć. Ona miała uszkodzony mózg, on – nie. Nie był swoją matką i nie był swoją rodziną. Któregoś dnia odejdzie i będzie tu wracał tylko jako gość. Wyobraził sobie, że jest gościem już teraz i dotrzymuje ojcu towarzystwa po długim pobycie za granicą, przygląda się wraz z nim szerokim łańcom jaskrów, rozchodzącym się w miejscu, gdzie teren opadał łagodnym stokiem w stronę lasu. Uczucie, z którym eksperymentował, miało posmak samotności i dręczyły go z tego powodu wyrzuty sumienia, lecz był również podniecony własną śmiałością.

Lionel zdawał się rozumieć milczenie syna. Powiedział Edwardowi, że był wspaniały w stosunku do swojej matki, zawsze miły i pomocny, i że ta rozmowa nic nie zmienia. Doszło do niej, ponieważ Edward jest już dość duży, żeby poznać fakty. W tym momencie do ogrodu wbiegły bliźniaczki, szukając brata.

– To, co powiedziałem, nic nie zmienia, absolutnie nic – zdążył powtórzyć Lionel, a potem dziewczynki dopadły ich i zaciągnęły brata do domu, żeby wyraził swoje zdanie na temat czegoś, co zrobiły.

Lecz w tym okresie zmieniało się dla Edwarda wiele innych rzeczy. Chodził do liceum ogólnokształcącego w Henley i zaczynał słyszeć od różnych nauczycieli, że „powinien pójść na uniwersytet”. Jego znajomy z Northend, Simon, i inni wiejscy chłopcy, z którymi biegał po okolicy, poszli do zawodówki i wkrótce mieli ją skończyć, żeby przed powołaniem do wojska nauczyć się fachu albo popracować trochę na farmie. Edward miał nadzieję, że czeka go inna przyszłość. Już teraz dawało się odczuć pewne skrepowanie, gdy się spotykali, zarówno z jego, jak i z ich strony. Musiał coraz bardziej przykładać się do nauki – przy całej swojej poczciwości Lionel był w tej dziedzinie prawdziwym tyranem – i po lekcjach nie włóczył się już po lesie z chłopakami, żeby zakładać wnyki i prowokować leśniczych z posiadłości Wormsley i Stonor. Małe miasteczko, takie jak Henley, miało swoje miejskie pretensje i Edward nauczył się ukrywać fakt, że zna nazwy motyli, ptaków oraz polnych kwiatów, które rosły na terenie rodzinnej posiadłości Fane'ów w ustronnej dolinie poniżej jego domu – dzwonków, driakwi, cykorii, dziesięciu gatunków storczyków i ciemierników, i rzadko

występujących śnieżyc letnich. Taka wiedza mogła sprawić, że zostanie w szkole uznany za kmiotka.

Fakt, że dowiedział się o wypadku matki, na pozór niczego nie zmienił, ale wokół tej nowej wiedzy krystalizowały się wszystkie drobne przesunięcia i reorientacje w jego życiu. Był wobec niej troskliwy i miły, w dalszym ciągu pomagał podtrzymywać fikcję, że to ona prowadzi dom i że wszystko jest tak, jak mówi, lecz teraz świadomie grał swoją rolę i wpływało to na umocnienie w nim tego nowo odkrytego, twardego jądra własnej osobowości. W wieku szesnastu lat nabrał upodobania do długich samotnych wycieczek. Przebywanie poza domem pomagało mu rozjaśnić umysł. Przechadzał się często Holland Lane, wykutym w kredzie traktem prowadzącym do Turville, z osypującymi się, porośniętymi mchem brzegami. Wędrował potem doliną Hambleton, w Henley przechodził na drugi brzeg Tamizy i przemierzał wzgórza Berkshire. Termin „nastolatek” miał zostać wymyślony znacznie później i nigdy nie przyszło mu do głowy, że ktoś inny może doznawać takiego uczucia odseparowania, które było jednocześnie bolesne i rozkoszne.

Nie pytając o zgodę i w ogóle nie mówiąc nic ojcu, pojechał pewnego weekendu autostopem do Londynu na zorganizowaną na Trafalgar Square demonstrację przeciwko interwencji w Suezie. Będąc tam, postanowił w chwili uniesienia, że nie złoży papierów w Oksfordzie, jak chcieli wszyscy nauczyciele i Lionel. To miasto było zbyt znajome, niedostatecznie różniło się od Henley. Przyjedzie tutaj, gdzie ludzie wydawali się więksi, głośniejsi i nieprzewidywalni, a słynne ulice nie przejmowały się własną legendą. Taki był tajny plan, którego się trzymał – nie chciał napotkać przedwczesnego oporu. Nie miał również zamiaru iść do wojska, które zdaniem Lionela dobrze by mu zrobiło. Te prywatne plany kształtowały w coraz mocniejszym stopniu jego ukrytą samoświadomość, ciasne jądro wrażliwości, pożądlivy i kanciasty egotyzm. W przeciwieństwie do niektórych chłopców w szkole nie pogardzał domem i rodziną. Nie przeszkadzały mu panujące tam ciasnota i bałagan i nigdy nie wstydział się matki. Nie mógł się po prostu doczekać, żeby zaczęło się jego życie, prawdziwa historia, ale świat był tak urządzony, że mogło do tego dojść dopiero wtedy, kiedy zda egzaminy. Pracował zatem ciężko i oddał dobre prace, zwłaszcza z historii. Traktował życzliwie siostry i rodziców i marzył o dniu, kiedy opuści domek w Turville Heath. W pewnym sensie już to uczynił.

TRZY

Po wejściu do sypialni Florence puściła dłoń Edwarda i trzymając się jednego z dębowych słupków, na których wspierał się baldachim, pochyliła się najpierw w prawo, potem w lewo, opuszczając za każdym razem z gracją ramię, by łatwiej jej było zdjąć buty. Kupiła je razem z matką pewnego deszczowego popołudnia w Debenhams – wizyta w sklepie była dla Violet czymś niezwykłym i stresującym i nie obyło się oczywiście bez kłótni. Buty uszyte były z jasnoniebieskiej skóry, miały niskie obcasy i fikuśnie zawiązaną ciemnoniebieską skórzaną kokardkę z przodu. Panna młoda bynajmniej się nie spieszyła – kolejna gra na zwłokę, która niestety zamykała jej drogę odwrotu. Zdawała sobie sprawę z zachwyconego wzroku męża, lecz w tym momencie nie czuła się szczególnie poirytowana lub przynaglana. Wchodząc do sypialni, zapadła w nieprzyjemny, podobny do snu stan, który przylegał do niej niczym staroświecki skafander nurka w głębokiej wódzie. Jej myśli nie należały do niej – były pompowane z zewnątrz, myśli zamiast tlenu.

I trwając w tym stanie, usłyszała dostojną i prostą muzyczną frazę, która powtarzała się w typowy dla pamięci słuchowej nieuchwytny i mętny sposób i zabrzmiała ponownie przy łóżku, kiedy Florence wzięła buty w ręce. Ta znajoma fraza – ktoś mógłby ją nawet nazwać słynną – składała się z czterech nut, które wznosząc się, zadawały pytanie. Ponieważ instrumentem nie były skrzypce, lecz chyba wiolonczela, pytanie stawiała nie sama Florence, lecz jakiś obojętny obserwator, nie do końca dowierzający, lecz jednocześnie uparty, ponieważ po krótkiej ciszy i rozwlekłej, nieprzekonującej odpowiedzi innych instrumentów, wiolonczela ponownie zadała pytanie, trochę inaczej, w innym akordzie, a potem znowu i znowu, za każdym razem otrzymując wątpliwą odpowiedź. Nie było słów, które można by podstawić pod te nuty; najwyraźniej nic nie zostało powiedziane. Zapytanie nie miało treści, składało się z samego pytajnika.

Był to początek kwintetu Mozarta, który stał się w swoim czasie przedmiotem sporu między Florence a jej przyjaciółmi, ponieważ wymagał zaangażowania altówki, a przyjaciele woleli uniknąć komplikacji. Jednak Florence się uparła. Chciała dokooptować kogoś do tego utworu, i kiedy zaprosiła na próbę znajomą z korytarza i zagrali ten kwintet z nut, wiolonczelista w swej próżności od razu się w nim zakochał, a pozostali poddali się jego urokowi wkrótce potem. Któż by się nie poddał? Jeżeli początkowa fraza zadała trudne pytanie o spójność Kwartetu Ennismore –

nazwanego tak od adresu akademika dziewcząt – problem został rozwiązany dzięki stanowczości Florence, która postawiła na swoim, oraz dzięki jej wierze w siebie i własny dobry smak.

Kiedy szła przez sypialnię i ustawiała starannie buty przy szafie, wciąż odwrócona plecami do Edwarda i wciąż grając na zwłokę, te same cztery nuty przypomniały jej o innym aspekcie własnej natury. Florence, która kierowała kwartetem i narzucała ze spokojem swoją wolę, nigdy nie podda się konwencjonalnym oczekiwaniom. Nie była owcą, która da się zarżnąć bez słowa skargi. Lub spenetrować. Uprzytomni sobie, czego dokładnie chce, a czego nie chce w tym małżeństwie, powie to na głos Edwardowi i spróbuje zawrzeć z nim kompromis. Ich pragnienia nie powinny być przecież spełniane kosztem drugiej osoby. Chodziło o to, by się kochać i wzajemnie wyzwolić. Tak, musiała jasno powiedzieć, o co jej chodzi, podobnie, jak to czyniła na próbach kwartetu, i musiała to zrobić właśnie teraz. Wiedziała nawet, od czego zacząć propozycję, którą mu złoży. Rozchyliła usta i zaczerpnęła powietrza. A potem, słysząc skrzypienie podłogi, odwróciła się, zobaczyła Edwarda, który szedł do niej z uśmiechem na zaczerwienionej lekko twarzy, i zbawienny pomysł ulotnił się, tak jakby w ogóle do niej nie należał.

Jej wyjściowa sukienka była z lekkiej bławatkowej bawełny i pasowała idealnie do butów. Znalazła ją po wielu godzinach oglądania wystaw między Regent Street a Marble Arch, na szczęście już bez matki. Kiedy Edward wziął Florence w objęcia, nie zrobił tego po to, by ją pocałować, ale przede wszystkim, żeby się do niej przytulić, a następnie położyć jej rękę na karku i wymacać suwak sukienki. Drugą dłoń przycisnął jej mocno do krzyża i szeptał do ucha tak głośno i z tak bliskiej odległości, że słyszała tylko szum wilgotnego powietrza. Ale suwaka nie sposób było otworzyć jedną ręką, przynajmniej na odcinku pierwszych dwóch lub trzech cali. Należało przytrzymać górną część sukienki i pociągnąć, w przeciwnym razie delikatny materiał marszczył się i zwijał. Florence sięgnęłaby sama przez ramię, ale miała unieruchomione ręce, a poza tym pokazywanie Edwardowi, co ma robić, wydawało się jej niestosowne. W żadnym wypadku nie chciała go urazić. Edward westchnął ostro i pociągnął mocniej, ale suwak dotarł do punktu, w którym nie można było go przesunąć ani w górę, ani w dół. W tym momencie była uwięziona w swojej sukience.

– O Boże, Flo. Po prostu się nie ruszaj, proszę cię.

Posłusznie zastygła w bezruchu, przerażona brzmiającą w jego głosie irytacją, natychmiast uznając w duchu, że to jej wina. To była w końcu jej

sukienka, jej suwak. Powinna wyzwolić się z objęć Edwarda, odwrócić i podejść do okna, gdzie było jaśniej. Mogło się to jednak wydać przejawem nieczułości, a przerwanie mu potwierdziłoby skalę problemu. W domu poprosiłaby o pomoc siostrę, która miała całkiem zwinne palce, choć tak fatalnie grała na fortepianie. Ich matce brakowało cierpliwości do drobiazgów. Biedny Edward – czuła na ramionach drżenie obu jego rąk, które zaprzął do pracy, i wyobraziła sobie jego grube palce majstrujące przy fałdach zwiniętego materiału i upartym metalu. Współczuła mu i trochę się go bała. Każda nieśmiała sugestia mogła go jeszcze bardziej rozwścieczyć. Stała więc cierpliwie, aż w końcu zabrał ręce i cofnął się o krok. W rzeczywistości był pełen skruchy.

– Naprawdę mi przykro. Wszystko popsułem. Jestem taki cholernie niezgrabny.

– Kochanie. Mnie też się to często zdarza.

Usiedli razem na łóżku. Edward uśmiechnął się, dając do zrozumienia, że jej nie uwierzył, ale jest wdzięczny za tę uwagę. Z otwartych okien sypialni rozciągał się ten sam widok na hotelowy trawnik, lasy i morze. Nagła zmiana kierunku wiatru lub prądu, a może przepływający statek, spowodowały, że o brzeg rozbilo się jedna za drugą kilka mocnych fal. A potem morze tak samo nagle się uspokoiło i słychać było tylko cichy grzechot przesiewanych przez wodę kamyków. Florence położyła Edwardowi rękę na ramieniu.

– Chcesz poznać sekret? – zapytała.

– Tak.

Ujęła płatek jego ucha między palec wskazujący i kciuk i delikatnie przyciągnęła do siebie.

– Właściwie trochę się boję.

Nie było to zbyt precyzyjne, ale chociaż nie brakowało jej przenikliwości, nie zdołałaby nigdy opisać wszystkich dręczących ją uczuć: fizycznego wrażenia, że cała się kurczy, totalnego wstrętu do tego, o co Edward mógł ją poprosić, wstydu, że go rozczaruje i zostanie zdemaskowana jako oszustka. Gardziła sobą i szepcząc mu do ucha, miała wrażenie, że jej słowa brzmią niczym tekst scenicznego łajdaka. Lepiej było jednak przyznać się do strachu niż do wstrętu albo wstydu. Musiała zrobić wszystko, co możliwe, by zredukować oczekiwania swego męża.

Patrzył na nią i nic na jego twarzy nie wskazywało, że ją usłyszał.

Mimo swojej trudnej sytuacji Florence nie mogła nie podziwiać jego łagodnych brązowych oczu. Tyle w nich było inteligencji i wyrozumiałości. Być może gdyby bez przerwy się w nie wpatrywała i nie widziała nic innego, mogłaby zrobić wszystko, o co by poprosił. Bezgranicznie by mu zaufała. Ale to było złudzenie.

– Ja chyba też – powiedział w końcu Edward.

Mówiąc to, położył dłoń tuż nad jej kolanem, wsadził pod sukienkę i przesunął po wewnętrznej stronie uda, aż jego kciuk dotknął majtek. Jej nogi były gołe, gładkie i brązowe; opaliła je, siedząc w ogrodzie, grając w tenisa ze starymi znajomymi na publicznych kortach w Summertown, a także podczas dwóch długich pikników z Edwardem na kwiecistych wzgórzach nad ładną wioską Ewelme, gdzie pochowano wnuczkę Chaucera. Wciąż patrzyli sobie w oczy – mieli w tym spore doświadczenie. Odczuwała tak intensywnie jego dotyk, nacisk ciepłego spoconego palca na skórę, że mogła sobie wyobrazić, niemal dokładnie widziała, długi wygięty kciuk, leżący cierpliwie w błękitnym półmroku pod sukienką niczym machina obłącznicza pod murami miasta, a także równo obcięty paznokieć, który ocierał się o kremowy jedwab zmarszczony wzdłuż koronkowego obszycia i dotykał również – była tego pewna, czuła to wyraźnie – luźnego kręconego włoska. Robiła, co mogła, by nie dopuścić do skurczu mięśnia w nodze, lecz działo się to bez udziału jej woli, zupełnie samoistnie – było tak samo nieuniknione i potężne jak kichnięcie. Skurcz nie był bolesny, ale czuła, że napinając się i wchodząc w łagodny spazm, zdradziecki mięsień zawodzi ją, sygnalizując po raz pierwszy skalę problemu. Edward z pewnością wyczuł pod dłonią tę małą burzę, bo otworzył szerzej oczy, podniósł brwi i rozchylił bezgłośnie usta z uznaniem, a nawet podziwem, biorąc najwyraźniej jej zmieszanie za podniecenie.

– Flo...? – zapytał ostrożnie ze wznoszącą się intonacją, jakby chciał ją uspokoić albo powstrzymać przed pochopnym działaniem. Musiał jednak zapanować nad własną burzą uczuć. Miał płytki i nieregularny oddech i co chwila odrywał z miękkim klaśnięciem język od podniebienia.

Ile wstydu przysparza czasem ciało, które nie maskuje albo nie potrafi maskować emocji. Kto dla zachowania pozorów nie chciałby zwolnić bicia serca albo opanować rumieńców? Niesforny mięsień podrygiwał i trzepotał niczym ćma uwięziona pod skórą. Florence zdarzały się niekiedy podobne kłopoty z powieką. Niewykluczone jednak, że panika ustępowała; nie miała co do tego pewności. Pomogło jej to skupić się na podstawowych rzeczach i zaczęła je sobie łopatologicznie tłumaczyć. Jego ręka znalazła się w tym

miejscu, ponieważ był jej mężem; pozwoliła mu ją tam trzymać, ponieważ była jego żoną. Niektóre z jej koleżanek – Greta, Hermione, a zwłaszcza Lucy – już od kilku godzin leżałyby nago w pościeli i skonsumowały to małżeństwo – hałaśliwie i radośnie – na długo przed nocą poślubną. W swojej wielkoduszności i życzliwości były nawet przekonane, że ona też dawno to zrobiła. Nigdy ich nie okłamała, ale też nie wyprowadziła z błędu. Na myśl o przyjaciółkach poczuła szczególny, niedzielony z nikim smak własnej egzystencji: była sama.

Ręka Edwarda nie posunęła się dalej – być może spieszyło go to, co rozpętał. Zamiast tego dłoń zakołysała się lekko i zaczęła łagodnie ugniatać wewnętrzną stronę jej uda. Pewnie dlatego ustępował kurcz, lecz Florence nie zwracała już na to uwagi. Musiało to być dziełem przypadku, ponieważ nie mogła wiedzieć, że kiedy jego dłoń pieściła jej nogę, koniuszek kciuka dotykał wystającego spod majtek pojedynczego włoska, kołysząc go w tę i z powrotem i drażniąc korzeń i nerw torebki włosowej – słaby cień doznania, niemal abstrakcyjny początek, nieskończenie mały, niczym punkt geometryczny, który urósł do rozmiarów mikroskopijnej kropki o gładkich brzegach i wciąż się powiększał. Nie chciała w to uwierzyć, wypierała się tego, czując jednocześnie, jak wewnątrz zapada się i skłania w tym kierunku. Jak korzeń jednego włosa mógł wciągać całe ciało? Poddany pieścotliwemu rytmowi męskiej dłoni pojedynczy punkt doznania rozprzestrzenił się, regularnie pulsując, po powierzchni skóry, po brzuchu i w dół do krocza. Uczucie nie było zupełnie obce, stanowiło coś pośredniego między bólem a swędzeniem, ale wydawało się gładziej, cieplej i bardziej puste – przyjemnie bolesna pustka, która emanowała z jednej rytmicznie pobudzanej torebki włosowej, rozchodząc się koncentrycznymi falami po ciele i wnikając w głąb. Jej miłość do Edwarda po raz pierwszy skojarzyła się z określonym fizycznym doznaniem, podobnie niepodważalnym jak zawrót głowy. Wcześniej odczuwała jedynie obecność krzepiącej mieszanki serdecznych emocji, grubego zimowego pledu życzliwości i zaufania. To zawsze zdawało się wystarczać, stanowiło sukces sam w sobie. Teraz budziły się w niej wreszcie pierwociny pożądania, precyzyjnego i nieznanego, lecz przecież jej własnego, i towarzyszyła mu, zawieszona gdzieś z tyłu, tuż poza polem widzenia, ulga, że Florence nie różni się jednak od innych. W wieku czternastu lat, zdesperowana tym, że wszystkie jej koleżanki mają piersi, podczas gdy ona wciąż przypominała wyrośniętą dziewięciolatkę, doznała podobnego objawienia przed lustrem, kiedy po raz pierwszy dostrzegła i zbadała świeżą twardą obrzmiałość wokół brodawek. Gdyby jej matka nie przygotowywała właśnie piętro niżej wykładu o Spinozie, Florence wydałaby triumfalny okrzyk. Rzecz nie ulegała kwestii: nie należała do odrębnego

podgatunku ludzkiej rasy. Mogła z radością ogłosić, że nie różni się od ogółu. Ona i Edward w dalszym ciągu nie odrywali od siebie wzroku. Rozmowa była raczej wykluczona. Florence udawała, że nic się nie dzieje – że jego ręka nie wsunęła się pod jej sukienkę, kciuk nie dotyka wystającego włoska łonowego, a ona nie dokonuje właśnie doniosłego zmysłowego odkrycia. Za głową Edwarda rozciągał się widok na odległą przeszłość – otwarte drzwi do salonu i stół z niedojedzoną kolacją – ale ona nie spojrzała w tamtą stronę. Mimo przyjemnych doznań i poczucia ulgi w dalszym ciągu tkwiły w niej obawy, wysoki mur, który niełatwo było zburzyć. Niespecjalnie też jej na tym zależało. Chociaż cała sytuacja była dla niej nowa, Florence nie znajdowała się w stanie szalonej ekstazy i nie spieszyło jej się, by w nią wpadać. Chciała pozostać w ubraniu i zatrzymać w czasie tę chwilę, delektować się łagodnym spojrzeniem jego brązowych oczu, czułą pieszczotą i przechodzącym ją dreszczem. Wiedziała jednak, że to niemożliwe. Zgodnie z tym, co mówili wszyscy, jedna rzecz musi prowadzić ku drugiej.

Twarz Edwarda była wciąż niezwykle różowa, źrenice rozszerzone, usta rozchylone. Podobnie jak wcześniej oddychał płytko, nieregularnie i szybko. Trwające tydzień przygotowania do ślubu i szaleńcza wstrzemięźliwość wpłynęły w poważnym stopniu na chemię jego młodego organizmu. Florence była taka kochana i piękna i nie całkiem wiedział, co robić. Niebieska sukienka, której nie udało mu się z niej ściągnąć, połyskiwała w zapadającym zmroku na białym tle kołdry. Kiedy po raz pierwszy dotknął wewnętrznej strony jej uda, było zaskakująco chłodne i z jakiegoś powodu niezmiernie go to podnieciło. Patrząc jej w oczy, miał wrażenie, że opada ku niej płynnym, przyprawiającym o zawrót głowy ruchem. Paraliżowało go z jednej strony podniecenie, z drugiej brzemie własnej ignorancji. Jeśli nie liczyć filmów, sprośnych dowcipów i wyuzdanych anegdot, cała jego wiedza o kobietach pochodziła w większości od samej Florence. Perturbacje pod jego dłonią mogły być oznaką zjawiska, które każdy mógł go nauczyć rozpoznawać (a także wyjaśnić, jak należy na nie reagować), na przykład jakimś rodzajem wstępu do kobiecego orgazmu. Mogły też być wynikiem nerwów. Nie sposób było tego rozstrzygnąć i poczuł ulgę, gdy zaczęły ustępować. Przypomniawszy sobie incydent na polu kukurydzianym pod Ewelme, kiedy najpierw przechwalał się farmerowi, że zna się na rzeczy, a potem siadł za kierownicą kombajnu i bał się dotknąć jakiegokolwiek dźwigni. Po prostu za mało wiedział. Z jednej strony to Florence zaprowadziła go do sypialni, to ona zdjęła z taką nonszalancją buty i pozwoliła mu położyć tak blisko rękę. Z drugiej strony wiedział na podstawie długiego doświadczenia, jak łatwo jeden nierozważny krok mógł pogrzebać jego szansę. Jednakże Florence patrzyła na niego tak zachęcająco – jej śmiałe rysy złagodniały,

oczy zwięzły się i ponownie otworzyły, ani na chwilę nie odrywając się przy tym od jego twarzy, a głowa odchyliła się do tyłu – że jego obawy były z pewnością absurdalne. Niezdecydowanie wynikało z jego własnej głupoty. Wzięli przecież, na litość boską, ślub, a ona zachęcała go, ponaglała, pragnęła, by przejął inicjatywę. Mimo to pamiętał dobrze chwile, gdy źle odczytał oznaki, przede wszystkim w kinie, na projekcji *Smaku miodu* – zerwała się wówczas z fotela i pobiegła do przejścia niczym spłoszona gazela. Naprawienie tego jednego błędu trwało całe tygodnie – nie chciał, by powtórzyła się tego rodzaju katastrofa i nie do końca wierzył, że czterdziestominutowa ceremonia ślubna zmieniła sytuację tak gruntownie. Powietrze w pokoju wydawało się rozrzedzone i niematerialne; każdy oddech wymagał świadomego wysiłku. Edward stłumił nerwowe ziewnięcie, zaciskając wargi i rozszerzając nozdrza – byłoby fatalnie, gdyby doszła do wniosku, że jest znudzony. Mimo że ich miłość była tak oczywista, noc poślubna nie przebiegała jak należy i ogromnie go to bolało. Własne podniecenie, ignorancja i niezdecydowanie wydawały mu się niebezpieczne, ponieważ nie do końca sobie ufał. Czasami zachowywał się głupio, a nawet nieodpowiedzialnie. Przez kolegów na uniwersytecie uważany był za jednego z tych cichych typków, którzy skłonni są do nagłych wybuchów przemocy. Według ojca we wczesnym dzieciństwie miewał spektakularne napady złości. W szkole i na studiach pociągała go niekiedy dzika swoboda walki na pięści. Poczynając od bójek toczonych w kręgu rozwrzeszczanych dzieciaków na szkolnym boisku, poprzez poważne nawałanki na leśnej polanie przy skraju wioski, aż po bezwstydną burdy przed pubami w śródmieściu Londynu, Edward odnajdywał w walce ekscytującą nieprzewidywalność i odkrywał w sobie spontaniczność i zdecydowanie, których brakowało mu w spokojnej codziennej egzystencji. Nigdy nie dążył do takich sytuacji, lecz kiedy do nich dochodziło, pewne ich aspekty – wyzwiska, powstrzymujący go koledzy, branie się za bary, skandaliczne zachowanie przeciwnika – były nieodparte. Doświadczał czegoś podobnego do tunelowego widzenia i głuchoty, a potem wszystko wracało i doznawał zapomnianej przyjemności, tak jakby śnił od nowa stary sen. Podobnie jak po studenckich popijawach kac przychodził później. Edward nie był nadzwyczajnym pięściarzem, ale odznaczał się przydatną w tego rodzaju okolicznościach fizyczną brawurą i lubił podnosić stawkę. Poza tym był silny.

Florence nigdy nie dostrzegła w nim tego szaleństwa, a on nie miał zamiaru jej o nim opowiadać. Nie bił się od osiemnastu miesięcy, od stycznia 1961 roku, kiedy studiował na drugim semestrze ostatniego roku. To była jednostronna walka, i co dla niego nietypowe, Edward wystąpił w słusznej sprawie, miał pewną dozę racji. Szedł Old Compton Street do

French Pubu przy Dean Street wraz z innym studentem trzeciego roku historii, Haroldem Matherem. Był wczesny wieczór i szli prosto z biblioteki, żeby spotkać się ze znajomymi. W podstawówce, do której chodził Edward, Mather byłby idealną ofiarą – niski, miał pięć stóp i pięć cali wzrostu, grube szkła i komicznie kłapciatą twarz, a do tego był irytująco elokwentny i sprytny. Ale na uniwersytecie brylował i cieszył się wysokim statusem. Miał wspaniałą kolekcję płyt jazzowych, przyjętą do druku (choć jeszcze nieopublikowaną) nowelę w czasopiśmie „Encounter”, redagował magazyn literacki, zabierał dowcipnie głos na oficjalnych zebraniach związku studentów i był dobrym parodystą – naśladował Macmillana, Gaitskella, Kennedy'ego oraz Chruszczowa, udając, że mówi po rosyjsku, a także różnych afrykańskich przywódców i komików, na przykład Ala Reada i Tony'ego Hancocka. Potrafił imitować głosy i skecze z telewizyjnej rewii *Beyond the Fringe* i uchodził za bezsprzecznie najlepszego studenta na roku. Dla Edwarda to, że zaprzyjaźnił się z człowiekiem, którego niegdyś starałby się unikać, było znaczącym krokiem do przodu i dowodem jego nowej dojrzałości.

O tej porze dnia, w powszedni zimowy wieczór, Soho budziło się dopiero do życia. Puby pękały w szwach, ale klubów jeszcze nie otwarto i chodniki były niezatłoczone. Z daleka widzieli parę, która szła ku nim wzdłuż Old Crompton Street. To byli rockersi – wielki dwudziestokilkuletni facet z długimi bokobrodami, w nabijanej ćwiekami skórzanej kurtce, obcisłych džinsach i wysokich butach, oraz identycznie ubrana, trzymająca go za ramię pulchna dziewczyna. Kiedy się mijali, mężczyzna, nie zwalniając nawet kroku, wyciągnął rękę i trzepnął mocno Mathera w tył głowy otwartą dłonią, w wyniku czego ten zatoczył się i spadły mu z nosa okulary w stylu Buddy'ego Holly. Facet chciał chyba pokazać, że pogardza Haroldem z powodu niskiego wzrostu i wymuskanego stroju, względnie dlatego, że przypominał z wyglądu Żyda – i był nim w rzeczywistości. Może chciał zaimponować swojej dziewczynie lub ją rozbawić. Edward nie zamierzał tego roztrząsać. Ruszając w ślad za parą, usłyszał, jak Harold woła „nie!” lub „nie rób tego!”, ale był to dokładnie ten rodzaj prośby, na który pozostawał w tym momencie głuchy. Znowu śnił swój sen. Trudno byłoby mu opisać swój stan: jego gniew unosił się spiralnie w rodzaju ekstazy. Prawą ręką Edward złapał mężczyznę za ramię i obrócił, lewą chwycił go za gardło i pchnął na ścianę. Głowa rockersa uderzyła z satysfakcjonującym odgłosem w rynnę z kutego żelaza. Wciąż trzymając mężczyznę za gardło, Edward uderzył go w twarz, tylko raz, ale bardzo mocno, zaciśniętą pięścią. A potem wrócił do Mathera, żeby pomóc mu znaleźć okulary, w których stukło się jedno szkiełko. Ruszyli dalej, zostawiając faceta siedzącego na chodniku i

zakrywającego twarz dłońmi, z kręcącą się przy nim dziewczyną. Dopiero nieco później tego samego wieczoru Edward zdał sobie sprawę, że Harold Mather nie jest mu wdzięczny i że się w ogóle nie odzywa, a ściślej biorąc, nie odzywa się do niego. A po kilku dniach uświadomił sobie, że przyjaciel nie tylko nie pochwalał jego czynu, ale co gorsza, był zakłopotany. W pubie żaden z nich nie opowiedział znajomym, co się stało, a Mather nigdy nie rozmawiał o tym incydencie z Edwardem. Reprimenda przyniosłaby ulgę. Prawie niepostrzeżenie Mather odsunął się od niego. Chociaż wciąż spotykali się w szerszym gronie i nigdy w oczywisty sposób nie ignorował Edwarda, ich znajomość uległa zmianie. Edward z bólem doszedł do wniosku, że jego zachowanie wydało się Matherowi odpychające, nie miał jednak odwagi poruszać tej kwestii. Poza tym Mather pilnował, żeby nigdy nie zostawali sam na sam. Z początku Edward sądził, że chodzi o urażoną dumę przyjaciela: był świadkiem upokorzenia Harolda i dodatkowo je pogłębił, zachowując się jak jego obrońca, demonstrując, jaki z niego twardziel, podczas gdy Mather jest bezbronnym mięczakiem. Później Edward zdał sobie sprawę, że to, co zrobił, było po prostu nieeleganckie, i tym bardziej było mu z tego powodu wstyd. Uliczna bijatyka po prostu nie pasowała do poezji i ironii, do bebopu i historii. Popełnił nietakt. Nie był osobą, za jaką się uważał. To, co jego zdaniem było interesującym wybrykiem i surowym rysem charakteru, okazało się czymś wulgarnym. Był wiejskim chłopakiem, prowincjonalnym głupkiem, który myślał, że bijąc kogoś po twarzy, może zaimponować przyjacielowi. Było to bolesne przewartościowanie. Dokonał jednego z odkryć typowych dla wczesnej dorosłości: poznał nowe wartości, według których chciał być odtąd oceniany. Od tego czasu nie wdawał się już w bójki.

Lecz teraz, w noc poślubną, nie ufał sobie. Nie miał pewności, czy tunelowe widzenie i wybiórcza głuchota nie spowiją go ponownie niczym zimowa mgła w Turville Heath i nie przesłonią jego nowszego, bardziej wyrafinowanego ja. Siedział przy Florence, od ponad półtorej minuty trzymając rękę pod jej sukienką i gładząc udo. Wzbierające w nim bolesne pożądanie było coraz trudniejsze do opanowania i przerażała go własna niecierpliwość, wściekłe słowa lub czyny, które mogła zrodzić i w ten sposób zakończyć ten wieczór. Kochał Florence, ale miał ochotę nią potrząsnąć, nawet spoliczkować, żeby zerwała z oksfordzkimi konwenansami i swoją sztywną pozą zza muzycznego pulpitu, żeby zobaczyła, jakie to naprawdę proste: oto mogą się cieszyć nieskrępowaną zmysłową wolnością, pobłogosławioną w dodatku przez pastora – *moim ciałem wielbić cię będę* – sprośną, radosną, nagą wolnością, wznoszącą się w jego wyobraźni niczym olbrzymia przestronna katedra, chyba zrujnowana, pozbawiona sklepienia i

otwarta na niebo, ku któremu mogli poszybować i połączyć się, zatracić w falach pozbawiającej tchu, bezmyślnej ekstazy. To było takie proste! Dlaczego nie unosili się tam w górze, dlaczego siedzieli tutaj, tłamsząc w sobie wszystkie rzeczy, których nie mieli odwagi i nie potrafili sobie powiedzieć? A co takiego im zawadzało? Ich osobowości i przeszłość, ich ignorancja i obawy, nieśmiałość, wstyd, brak doświadczenia i obycia, a także resztki religijnych zakazów, ich angielskość, pochodzenie klasowe i sama historia. W gruncie rzeczy nic wielkiego. Edward cofnął rękę, przyciągnął Florence do siebie i pocałował w usta z maksymalną wstrzemięźliwością, na jaką było go stać, nie angażując języka. Następnie ułożył ją w poprzek łóżka, tak że jej głowa spoczęła na jego ręce. Sam położył się na boku, podparł łokciem tej samej ręki i spojrzał na nią z góry. Łóżko skrzypiało żałośnie, gdy się na nim kładli, przypominając o innych młodych parach, które z niego korzystały, wszystkich z pewnością bardziej doświadczonych. Edward stłumił w sobie nagły śmiech, który budziła sama myśl o tej poważnej kolejce, wychodzącej na korytarz, sięgającej recepcji, ciągnącej się wstecz w czasie. W żadnym wypadku nie mógł o nich myśleć: komizm był trucizną, która zabijała erotykę. Musiał także odsunąć od siebie myśl, że Florence może się go bać. Gdyby w to uwierzył, nie wyszłoby mu to na dobre. Leżała uległa w jego ramionach, nie odrywając od niego wzroku, z rozluźnioną, nieprzeniknioną twarzą. Oddychała równo i głęboko, jak ktoś, kto śpi. Wyszeptał jej imię i powiedział ponownie, że ją kocha, a ona zamrugała oczyma i rozchyliła usta w geście zgody, a może nawet zachęty. Wolną ręką zaczął ściągać jej majtki. Florence znieruchomiała, lecz nie opierała się i uniosła nawet lekko pośladki. Ponownie rozległo się podobne do meczenia wiosennych jagniąt smutne skrzypienie sprężyn materaca lub ramy łóżka. Jej głowa w dalszym ciągu spoczywała na jego ramieniu; nawet wyciągając maksymalnie drugą rękę, nie był w stanie ściągnąć jej majtek dalej niż do kolan. Pomogła mu, zginając je. Dobry znak. Nie chciał borykać się po raz kolejny z suwakiem sukienki, więc biustonosz – jak spostrzegł, z jasnoniebieskiego jedwabiu, z koronkowym obszyciem – musiał na razie także pozostać na miejscu. To tyle, jeśli chodzi o sprośną, nagą wolność. Lecz Florence była piękna właśnie taka, leżąc na jego ramieniu, z podwiniętą na udach sukienką i rozrzuconymi na narzucie zmierzwionymi włosami. Królowa słońca. Ponownie się pocałowali. Robiło mu się niedobrze z pożądania i niezdecydowania. Żeby się rozebrać, musiałby zdekomponować obiecujący układ ich ciał i zaryzykować, że czar pryśnie. Wystarczy niewielki zwrot, kombinacja drobnych czynników, lekki powiew wątpliwości i Florence zmieni zdanie. Wierzył jednak mocno, że uprawianie seksu – i to po raz pierwszy w życiu – przez rozpięty rozporek byłoby

pozbawione zmysłowości, ordynarne i niegrzeczne. Po kilku minutach odsunął się od niej i rozebrał pospiesznie przy oknie, nie chcąc kalać tak banalną czynnością świętej strefy wokół łóżka. Przydeptał pięty butów, by zzuć je ze stóp, po czym zdjął szybko skarpetki, wciskając pod nie kciuki. Spostrzegł, że Florence nie wpatruje się już w niego, lecz w zwisający nad nią baldachim. W ciągu kilku sekund był nagi, jeśli nie liczyć koszuli, krawata i zegarka na ręku. Nie zdejmując koszuli, która niczym zasłona na czekającym na odsłonięcie pomniku częściowo zakrywała, a częściowo podkreślała jego erekcję, dostosował się grzecznie do kodu wyznaczonego przez sukienkę Florence. Krawat był oczywistym absurdem i idąc do niej, zerwał go z szyi jedną ręką, drugą rozpinając górny guzik koszuli. Zrobił to buńczucznym, zawadiackim ruchem i na moment wróciło do niego wyobrażenie samego siebie, jakie niegdyś lubił: nieokrzesanego, lecz w gruncie rzeczy porządnego i zdolnego faceta. Wróciło i po krótkiej chwili ulotniło się. Nie dawał mu spokoju duch Harolda Mathera.

Florence wolała nie siadać i w ogóle nie zmieniła swojej pozycji; leżała na plecach, gapiąc się na biszkoptowego koloru plisowaną tkaninę zawieszoną na słupkach, które miały, jak przypuszczała, przywozić na myśl dawną Anglię: chłodne kamienne zamki i dworską miłość. Wpatrywała się w nierówny splot materiału, zieloną plamkę wielkości monety – skąd się tam wzięła? – i luźną nitkę kołyszącą się w powietrznych prądach. Starła się nie myśleć o najbliższej przyszłości ani o przeszłości. Wyobrażała sobie, że trzyma się kurczowo tej chwili, tej drogocennej terażniejszości, jak niezabezpieczony liną wspinacz, który przyciska twarz do skały i nie śmie się poruszyć. Chłodne powietrze owiewało przyjemnie jej gołe nogi. Słyszała dobiegający z daleka szum fal, krzyk mew i szelest zdejmowanego przez Edwarda ubrania. Lecz przeszłość, niewyraźna przeszłość, i tak do niej wróciła. Przywołał ją zapach morza. Miała dwanaście lat i leżała nieruchomo tak jak teraz, czekając z drżeniem na wąskiej koi z polerowanymi mahoniowymi krawędziami. Miała pusty umysł i niejasne poczucie, że popadła w niełaskę. Po dwudniowym rejsie znaleźli się ponownie w strefie ciszy nieopodal portu Carteret, na południe od Cherbourga. Był późny wieczór i jej ojciec krzątał się w pogrążonej w półmroku zagraconej kabinie, rozbierając się, tak jak to robił teraz Edward. Pamiętała szelest ubrania i brzęk rozpinanego paska lub kluczyków i drobnych monet. Musiała tylko nie otwierać oczu i myśleć o melodii, którą lubiła. Jakiegokolwiek melodii. Pamiętała słodki odór jedzenia, które zepsuło się w dusznej kabinie podczas rejsu po wzburzonym morzu. W ciągu tych dwu dni wiele razy wymiotowała i nie mogła się na wiele przydać ojcu przy prowadzeniu łodzi. Zapewne dlatego tak się wstydziła. Nie mogła również nie zastanawiać się nad

najbliższą przyszłością. Miała nadzieję, że bez względu na to, co ją czeka, uda jej się odtworzyć jakąś wersję tego rozprzestrzeniającego się, przyjemnego doznania, że rozwinie się ono, ogarnie ją bez reszty, znieczuli jej obawy i uchroni przed kompromitacją. Wydawało się to mało prawdopodobne. Wspomnienie owego doznania, tego, jak wyglądało i czym naprawdę było, zdażyło się już skurczyć do rozmiarów suchego historycznego faktu. Zdarzyło się to dawno temu, podobnie jak bitwa pod Hastings. A jednak to była jej jedyna szansa – drogocenna niczym delikatny stary kryształ, który łatwo upuścić: kolejny ważny powód, żeby się nie ruszać.

Poczuła, jak łóżko ugina się i drży pod kładącym się na nim Edwardem, i w polu jej widzenia pojawiła się jego twarz, zastępując baldachim. Uprzejmie podniosła głowę, by mógł pod nią ponownie wsunąć rękę w charakterze podpórki. Przyciągnął ją do siebie blisko na całej długości swojego ciała. Widziała ciemne wnętrza jego nozdrzy. W lewym tkwił samotny wygięty włos, przypominający pochylonego przed grota mężczyznę i drżący przy każdym wydechu. Podobały jej się ostro zarysowane wcięcia nad górną wargą. Po prawej stronie bruzdy pod nosem widać było mały spuchnięty punkcik, początek albo zanikająca pozostałość pryszczka. Przy biodrze czuła jego penisa, pulsującego i twardego jak kij od szczotki. Ku jej zdziwieniu specjalnie jej to nie przeszkadzało. Nie chciała jednak na razie go oglądać.

Żeby przypieczętować ich związek, Edward pochylił głowę i pocałowali się. Jego język musnął zaledwie koniuszek jej języka i ponownie była mu za to wdzięczna. Świadomi panującej na dole ciszy – nie słysząc już było radia ani odgłosów rozmowy – wyszeptali sakramentalne „kocham cię”. Wypowiedzenie – nawet ciche – niezatartej formuły, która ich połączyła i bez wątpienia świadczyła, że mają wspólne interesy, podniosło ją na duchu. Niewykluczone, że uda jej się to jakoś przetrwać. Być może odnajdzie w sobie dość siły, by w przekonujący sposób udawać i w trakcie kolejnych, późniejszych okazji powściągnąć swoje obawy z mocy czystego przyzwyczajenia, aż w końcu będzie mogła uczciwie odnaleźć i dawać rozkosz. Edward nie musiał wcale wiedzieć – przynajmniej do chwili, gdy odzyskawszy pewność siebie, sama mu to powie w formie wesołej anegdoty – jaką była niegdyś ignorantką, żalostną w swoich głupich obawach. Już teraz nie miała nic przeciwko, by dotykał jej piersi, choć nie tak dawno na pewno by się wzdrygnęła. Istniała dla niej jeszcze nadzieja, i z tą myślą przytuliła się do jego piersi. Była przekonana, że nie zdjął koszuli, by móc bez trudu sięgnąć po schowane w górnej kieszonce prezerwatywy. Jego dłoń

wędrowała po całym jej ciele, podciągając jeszcze wyżej skraj sukienki. Nigdy nie mówił wiele o dziewczynach, z którymi się wcześniej kochał, ale nie wątpiła, że ma olbrzymie doświadczenie. Czuła, jak wpadające przez okno letnie powietrze lechcze jej odsłonięte włosy łonowe. Zapuściła się już bardzo daleko na nowe terytorium, zbyt daleko, żeby się cofnąć.

Florence nigdy nie przyszło do głowy, że miłosne preludium będzie przypominać pantomimę, że odbędzie się w tak intensywnej i uważnej ciszy. Ale cóż mogła sama powiedzieć, co poza dwoma oczywistymi słowami nie zabrzmiałoby sztucznie lub głupio? A ponieważ on również milczał, uznała, że widać taki jest obyczaj. Wolałaby, żeby mruczeć do siebie słodkie głupstwa jak wówczas, gdy leżeli ubrani w jej sypialni w Oksfordzie i trwonili całe popołudnia. Musiała czuć jego bliskość, żeby utrzymać na wodzy demona paniki, który czekał tylko, żeby ją opętać. Musiała wiedzieć, że Edward jest przy niej, sprzyja jej i nie zamierza jej wykorzystać, że jest jej czułym i delikatnym przyjacielem. W przeciwnym razie wszystko mogło się dla niej źle skończyć – skończyć się przykrą samotnością. Zależało jej, by poza miłością przekonał ją również i o tym, i w końcu nie mogła się powstrzymać, by nie wydać tego niedorzecznego polecenia.

– Powiedz mi coś – szepnęła.

Jedynym bezpośrednim i pozytywnym rezultatem jej słów było to, że jego dłoń znieruchomiała nagle, niedaleko miejsca, gdzie trzymał ją wcześniej, kilka cali poniżej pępka. Kiedy spojrzał na Florence, lekko drżały mu wargi – przyczyną mogły być nerwy, rodzący się uśmiech lub myśl ubierająca się w słowa.

Ku jej uldze Edward zrozumiał aluzję i odwołał się do znajomej formuły słodkich głupstw.

– Masz śliczną twarz i piękny charakter, seksowne łokcie i kostki u nóg – oznajmił z powagą. – Wszyscy mężczyźni muszą uwielbiać twój obojczyk, putamen i vibrato, ale należysz wyłącz nie do mnie i jestem z tego bardzo zadowolony i dumny.

– Bardzo dobrze, możesz pocałować moje vibrato – odparła. Edward wziął jej lewą dłoń i zaczął po kolei ssać palce, dotykając językiem zgrubień spowodowanych przez grę na skrzypcach. Pocałowali się i dokładnie w tym momencie, kiedy patrzyła z umiarkowanym optymizmem w przyszłość, Florence poczuła, jak napinają się mięśnie jego ramion. Nagle, jednym wprawnym silnym ruchem położył się na niej i choć wsparł się w dużej części na ułożonych po obu stronach jej głowy łokciach i

przedramionach, czuła się przygwożdżona, bezbronna i pozbawiona tchu. Rozczarowało ją to, że nie poświęcił trochę więcej czasu, by popieścić ponownie jej wzgórek łonowy i obudzić w niej to dziwne, rozprzestrzeniające się doznanie. W tej chwili jednak najmocniej skupiała się na tym – był to krok do przodu w stosunku do odrazy lub obaw – żeby zachować pozory, nie zawieść go, uniknąć upokorzenia i nie wydać się gorszą od innych kobiet, które znał. Zamierzała to jakoś przetrwać. Nigdy nie wyzna mu, jak ciężka była to walka i ile ją kosztowało zachowanie spokoju. Nie miała innych pragnień prócz tego, by go zadowolić i by ta noc okazała się sukcesem. Nie czuła nic poza czubkiem jego dziwnie chłodnego penisa, który raz po raz dźgał i uderzał w jej cewkę moczową i obok niej. Wierzyła, że nie ulegnie panice i odrazie, kochała Edwarda i wszystkie jej myśli koncentrowały się na tym, by pomóc mu osiągnąć to, czego tak gorąco pragnął, i spowodować, że jeszcze bardziej ją pokocha. Działając w tym duchu, wsunęła prawą dłoń między jego i swoje krocze. Edward uniósł się lekko, by jej to umożliwić. Zapamiętała – i była z tego powodu dumna – że według poradnika w czerwonych okładkach było absolutnie dopuszczalne, by panna młoda „wprowadziła do środka mężczyznę”.

Najpierw odnalazła jego jądra i w ogóle się teraz nie bojąc, objęła miękko palcami ten nadzwyczajny sztywny obiekt, który oglądała w innych formach u psów i koni, a który nigdy nie wydawał jej się pasować do dorosłego mężczyzny. Wodząc po nim palcami od spodu, dotarła do podstawy penisa i ujęła go z wyjątkową ostrożnością, nie miała bowiem pojęcia, jak bardzo jest wrażliwy lub krzepki. Przesuwając z powrotem palce, zauważyła z zainteresowaniem jego jedwabistą fakturę aż po sam czubek, który lekko pogłaskała; następnie zaś zaskoczona własną śmiałością, cofnęła nieco dłoń, złapała go mocniej gdzieś w połowie długości i pociągnęła w dół, korygując lekko trajektorię, aż dotknął jej warg sromowych. Skąd mogła wiedzieć, jaki straszliwy błąd popełnia? Czy złapała nie za to co trzeba? Czy ścisnęła zbyt mocno? Edward wydał z siebie jęk, skomplikowaną serię rozpaczliwych, wznoszących się samogłosek, rodzaj okrzyku, który słyszała kiedyś na komedii, gdy przeciskający się między stolikami kelner upuszczał z ręki wysoki stos głębokich talerzy.

Przerażona puściła penisa, a Edward, unosząc się ze zdumioną miną i wygiętymi w spazmie muskularnymi plecami, spryskał ją rześnistym deszczem kropel, wypełniając pępek i powlekając brzuch, uda, a nawet fragment policzka oraz rzepki kolanowej warstwą cieplej, lepkiej cieczy. To była klęska i Florence natychmiast doszła do wniosku, że to wszystko jej wina, że jest niezdarna, niedouczone i głupia. Nie powinna była mu

przeszkadzać, nie powinna wierzyć w to, co napisali w poradniku. Nie wyglądałoby to chyba straszniej, gdyby pękła mu tętnica szyjna. Jakie to dla niej typowe: przemądrzałe wtrącanie się w niesamowicie skomplikowane sprawy. Powinna wiedzieć, że postawa, jaką przyjmowała w trakcie prób kwartetu, nie ma tutaj zastosowania.

I było w tej sytuacji coś jeszcze, coś na swój sposób o wiele gorszego, nad czym w ogóle nie panowała, co przywoływało wspomnienia, które dawno temu uznała za nie swoje. Zaledwie pół minuty temu była dumna z tego, że panuje nad swoimi emocjami i zachowuje spokój. Teraz jednak nie była w stanie stłumić pierwotnego wstępu, głębokiego przerażenia na myśl o tym, że została spryskana płynem, śluzem z innego ciała. W ciągu paru sekund ten płyn ostygł w podmuchach morskiej bryzy, lecz mimo to miała wrażenie, że ją parzy. Nic w jej naturze nie mogło powstrzymać instynktownego okrzyku odrazy. Spływające po skórze grube krople, ich obca mleczna konsystencja, intymny odór krochmalu, przywołujący na myśl zapach zamkniętego w zatechłej izbie wstydliviego sekretu – nie mogła na to nic poradzić, musiała się tego pozbyć. Edward skulił się przed nią, a ona ukłękła na łóżku, wyciągnęła poduszkę spod kołdry i zaczęła się gorączkowo wycierać. Już robiąc to, zdawała sobie sprawę, jak obmierzłe i prostackie jest jej zachowanie, jak bardzo musi pogłębiać jego udrękę ten widok, to, że tak desperacko usuwa z siebie jego ślady. I w gruncie rzeczy nie było to wcale łatwe. Płyn lepił się do niej, kiedy go ścierała, i miejscami zastygł już w popękana skorupę. Doznawała rozdwojenia jaźni: jedna Florence wymachiwała wściekle poduszką, druga przyglądała się temu i nienawidziła jej za to. Nie do zniesienia było to, że Edward musiał ją oglądać: tę miotającą się histeryczkę, którą tak głupio poślubił. Mogła go znienawidzić za to, czego był teraz świadkiem i czego nigdy nie zapomni. Musiała od niego uciec.

W paroksyzmie gniewu i wstydu zerwała się z łóżka. Lecz nawet w tym momencie jej drugie ja chłodno ją obserwowało i mówiło, choć niezupełnie w słowach: *ależ tak to właśnie wygląda, kiedy wpada się we wściekłość*. Nie mogła patrzeć na Edwarda. Torturą było pozostawanie w jednym pokoju z kimś, kto poznał ją od tej strony. Złapała buty z podłogi i przebiegła przez salon obok resztek ich kolacji, a potem korytarzem, po schodach, przez główne wejście, dookoła hotelu i po porośniętym mchem trawniku. I nie przestała biec nawet wówczas, kiedy dotarła w końcu na plażę.

CZTERY

W ciągu niespełna roku, który minął między pierwszym spotkaniem z Florence na St Giles Street i ich ślubem w położonym niecałe pół mili dalej kościele St Mary, Edward nocował często w dużej wiktoriańskiej willi przy Banbury Road. Violet Ponting przydzieliła mu pomieszczenie, które rodzina nazywała „małym pokojem”, na najwyższym piętrze, w przyzwoitej odległości od sypialni Florence, z widokiem na długi na sto jardów, ogrodzony murem ogród, a dalej na tereny college'u lub domu starców – nigdy nie zadał sobie trudu, by to ustalić. „Mały pokój” był większy od każdej z sypialni w Turville Heath i większy od tamtejszego salonu. Przy jednej ze ścian stały pomalowane na biało proste półki z wydaniem Loeba w językach łacińskim i greckim. Edwardowi podobała się panująca tu atmosfera surowych studiów, choć wiedział, że nie nabierze nikogo, zostawiając egzemplarze Epikteta i Strabona na nocnej szafce. Jak wszędzie indziej w tym domu ściany pomalowano na egzotyczny biały kolor – w królestwie Pontingów nie było ani jednego skrawka tapety, w kwiatki ani w paski – a podłogę wyłożono gołymi nieheblowanymi deskami. Edward miał do swojej dyspozycji całe najwyższe piętro oraz obszerną łazienkę na półpiętrze z wiktoriańskimi oknami z kolorowego szkła i kolejną nowością – lakierowanymi korkowymi płytkami.

Jego łóżko było szerokie i niezwykle twarde. W rogu pod spadzistym dachem stał prosty wiejski stół z przegubową lampą i pomalowane na niebiesko kuchenne krzesło. Nie było tam żadnych obrazów, dywaników ani ozdóbek, żadnych wycinków z czasopism i innych śladów hobby lub projektów. Edward po raz pierwszy w życiu starał się zachować jaki taki porządek, ponieważ był to pokój niepodobny do żadnego, który znał, pokój, w którym można było mieć spokojne, niezagracone myśli. Tutaj właśnie pewnej olśniewającej listopadowej nocy napisał oficjalny list do Violet i Geoffreya Pontingów, informując ich o zamiarze poślubienia Florence, i nie tyle nawet prosząc o zgodę, ile z ufnością oczekując aprobaty.

Nie mylił się. Sprawiali wrażenie zachwyconych i uczcili zaręczyny niedzielnym lunchem w hotelu Randolph. Edward zbyt mało wiedział o świecie, by dziwić się temu, jak dobrze przyjęto go w domu Pontingów. Jako stały chłopak, a następnie narzeczony Florence, uważał za rzecz naturalną, że kiedy przyjeżdżał autostopem albo pociągiem z Henley do Oksfordu, zawsze czekał tam na niego pokój i posiłki, w trakcie których gospodarze ciekawi byli jego opinii na temat rządu i światowej polityki, oraz że mógł

swobodnie korzystać z biblioteki i ogrodu z boiskiem do krokieta i badmintonu. Był wdzięczny, ale wcale niezaskoczony, kiedy jego pranie dołączano do rodzinnego i na kocu na skraju łóżka pojawiał się stos rzeczy wyprasowanych przez panią do sprzątania, która przychodziła w każdy dzień powszedni.

Wydawało mu się jak najbardziej normalne, że Geoffrey Ponting chciał grać z nim w tenisa na trawiastym korcie w Summertown. Edward był kiepskim graczem – miał porządny serw, przy którym mógł wykorzystać atut wysokiego wzrostu, i potrafił czasem grzmotnąć z końcowej linii, ale przy siatce całkiem się gubił i nie ufał swemu ułomnemu bekhendowi, preferując podkrecone piłki na lewą stronę. Trochę bał się ojca swojej dziewczyny, obawiał się, że Geoffrey Ponting uważa go za intruza i szalbierza, złodzieja, który chce jego córkę pozbawić dziewictwa, a potem szybko się ulotnić – co tylko w części odpowiadało prawdzie. Kiedy jechali na korty, Edward martwił się także o przebieg gry – niegrzecznie byłoby wygrać, a z drugiej strony marnowałby czas swojego gospodarza, nie stawiając w miarę zaciętego oporu. Jak się okazało, były to całkiem płonne obawy. Ponting należał do zupełnie innej ligi: jego zagrania były szybkie i celne i odznaczał się zdumiewającym wigorem jak na pięćdziesięciolatka. Wygrał pierwszy set sześć do jednego, drugi sześć do zera i trzeci sześć do jednego, najbardziej jednak dziwiła jego furia za każdym razem, kiedy Edwardowi udawało się uszczknąć jakiś punkt. Wracając na pozycję, starszy gracz mamrotał pod nosem; z tego, co Edward słyszał z drugiego końca kortu, groził sam sobie użyciem przemocy. I rzeczywiście od czasu do czasu uderzał się mocno rakieta po prawym pośladku. Nie chciał po prostu wygrać albo łatwo wygrać; zależało mu na każdym punkcie. Dwa gemy, które przegrał w pierwszym i trzecim secie, a także kilka niewymuszonych błędów doprowadziły go do pasji. „Och, na litość boską, człowieku! Weź się w garść!” – krzyczał. Jadąc z powrotem do domu, był spięty i Edward miał wrażenie, że ten tuzin wygranych punktów można od biedy uznać za zwycięstwo. Gdyby wygrał naprawdę, być może nie wolno by mu już było widywać się z Florence.

Ogólnie rzecz biorąc, Geoffrey Ponting na swój nerwowy, energiczny sposób darzył go całkiem sporą sympatią. Jeżeli po powrocie z pracy koło siódmej zastawał w domu Edwarda, podchodził do barku i nalewał im obu ginu z tonikiem – równe miarki jednego i drugiego, a do tego dużo kostek lodu. Dla Edwarda lód do drinków był czymś nowym. Siadali w ogrodzie i rozmawiali o polityce – Edward wysłuchiwał wówczas na ogół poglądów przyszłego teścia na temat upadku brytyjskiej gospodarki, sporów

kompetencyjnych w związkach zawodowych oraz szaleństwa, jakim było przyznanie niepodległości różnym koloniom w Afryce. Nawet siedząc, Ponting nie potrafił się odprężyć – balansował na skraju fotela, gotów się w każdej chwili zerwać; mówiąc, klepał się po kolanie i kiwał palcami stóp w sandałach, w odmierzanym w głowie rytmie. Znacznie niższy od Edwarda, ale masywnie zbudowany, miał muskularne ramiona pokryte zmierzwionymi jasnymi włoskami, które lubił pokazywać, wkładając nawet do pracy koszule z krótkim rękawem. Jego łysina również wydawała się symbolizować raczej siłę niż wiek – rozciągnięta gładko na wielkiej czaszce opalona skóra przypominała wypełniony wiatrem żagiel. Twarz także była duża, z małymi mięsistymi wargami, które w stanie spoczynku układały się w wyraz nadaśania, perkatym nosem i szeroko rozstawionymi oczyma, przez co w pewnym oświetleniu przypominał gigantyczny płód. Florence nigdy nie miała ochoty brać udziału w tych ogrodowych pogawędkach i Pontingowi chyba na tym nie zależało. Z tego, co zaobserwował Edward, ojciec i córka rzadko ze sobą rozmawiali, chyba że w większym towarzystwie i na zupełnie błahe tematy. Wydawało mu się jednak, że są na siebie intensywnie wyczuleni: kiedy ktoś inny zabierał głos, wymieniali spojrzenia, jakby skrycie go krytykowali. Ponting często kładł rękę na ramieniu Ruth, ale w obecności Edwarda nigdy nie obejmował Florence. Mimo to w trakcie rozmowy wielokrotnie miło o nich napomykał, mówiąc „Florence i ty” oraz „wy, młodzi”. To raczej on, nie Violet, wydawał się uradowany wiadomością o zaręczynach, to on zorganizował lunch w hotelu Randolph i wzniósł pół tuzina toastów. Edwardowi przyszło półzartem do głowy, że bardzo chciał się pozbyć córki.

Mniej więcej w tym czasie Florence zasugerowała ojcu, że Edward mógłby się okazać cennym nabytkiem dla firmy. W pewien sobotni ranek Ponting zawiózł go swoim humberem do fabryki na skraju Witney, gdzie projektowano i montowano naszpikowane tranzystorami instrumenty naukowe. Kiedy wdychając swojski zapach roztopionego lutu, mijali stoły montażowe, nie przejmował się zbytnio tym, że Edward, skutecznie ogłupiony całą tą nauką i technologią, nie potrafił zadać jednego sensownego pytania i ożywił się dopiero wówczas, gdy spotkali w pozbawionej okien pakamerze łysego dwudziestodwuletniego dyrektora do spraw sprzedaży, który skończył historię w Durham i pisał pracę doktorską o średniowiecznym monastycyzmie w północno-wschodniej Anglii. Tego wieczoru Ponting zaproponował Edwardowi przy ginie i toniku pracę polegającą na podróżowaniu dla firmy i nadzorowaniu nowych przedsięwzięć. Musiałby przeczytać coś niecoś na temat nowych produktów, zapoznać się pobieżnie z elektroniką i jeszcze bardziej pobieżnie z prawem

kontraktowym. Edward, który wciąż nie miał planów dotyczących własnej kariery, szybko uznał, że będzie mógł pisać książki historyczne w pociągu i w pokojach hotelowych między zebraniem, i przyjął propozycję bardziej z grzeczności niż autentycznej potrzeby.

Jeszcze mocniej zbliżyły go do Pontingów różne prace domowe, których dobrowolnie się podejmował. Latem 1961 roku wiele razy skosił trawnik – ogrodnik zachorował – porąbał trzy sągi drewna na opał i jeździł regularnie drugim samochodem, austinem 35, wywożąc na wysypisko graty z nieużywanego garażu, w którym Violet chciała urządzić dodatkową bibliotekę. Tym samym samochodem – nigdy nie pozwolono mu prowadzić humbera – odwiózł siostrę Florence, Ruth, do przyjaciół i krewnych w Thame, Banbury i Stratfordzie, a potem przywiózł ją z powrotem. Woził również Violet, między innymi na sympozjum schopenhauerowskie w Winchesterze; po drodze wypytywała go o kulty milenarystyczne, którymi się interesował. W jakim stopniu wpływały na liczbę ich wyznawców przemiany społeczne oraz klęska głodu? I czy ze względu na ich antysemityzm i ataki na Kościół oraz kupców można uważać te ruchy za wczesną formę socjalizmu w rosyjskim wydaniu? Następnie zaś, również prowokacyjnie, czy wojna nuklearna nie jest współczesnym odpowiednikiem zagłady z Apokalipsy świętego Jana i czy nie jest tak, że nasza historia i grzeszna natura zawsze budzą w nas wizje zniszczenia?

Odpowiadał nerwowo, mając świadomość, że kobieta testuje jego intelekt. Kiedy mówił, mijali akurat obrzeża Winchestera. Kątem oka zobaczył, że Violet wyjmując puderniczkę i pudruje białe wymizerowane policzki. Fascynowały go jej blade, patykowate ramiona i ostre łokcie, i zastanawiał się ponownie, czy to możliwe, żeby była matką Florence. Ale musiał się teraz skoncentrować na tym, co mówił, i na prowadzeniu. Oznajmił, że jego zdaniem ważniejsza od podobieństw jest różnica między przeszłością a współczesnością. To różnica między chorą i absurdalną fantazją wymyśloną przez mistyka późnej epoki żelaza, a racjonalną obawą przed możliwym i przerażającym wydarzeniem, któremu jesteśmy w stanie zapobiec.

Tonem oschłej reprimendy, która skutecznie zamknęła dyskusję, Violet oświadczyła, że nie do końca ją zrozumiał. Nie chodziło jej o to, czy członkowie średniowiecznych sekt mieli rację co do Apokalipsy świętego Jana i końca świata. Oczywiście, że się mylili, jednak gorąco wierzyli, że mają rację, i postępowali zgodnie ze swoimi przekonaniem. Podobnie on szczerze wierzy, że broń nuklearna zniszczy świat, i postępuje zgodnie z tym przekonaniem. Nie ma zupełnie znaczenia, że się myli, że tak naprawdę ta

broń chroni świat przed wojną. Na tym właśnie polega strategia powstrzymywania. Jako historyk z pewnością wie, że zbiorowe urojenia dotyczyły na przestrzeni stuleci wspólnych tematów. Kiedy do Edwarda dotarło, że porównuje jego sympatie do Kampanii na rzecz Nuklearnego Rozbrojenia z członkostwem w millenarystycznej sekcji, grzecznie się przymknął i ostatnie pół mili przejechali w milczeniu. Kiedy indziej zawiózł Violet do Cheltenham, gdzie wygłosiła w szóstej klasie szkoły dla dziewcząt wykład o pożytkach oksfordzkiej edukacji. Jego własna edukacja postępowała w swoim tempie. Tego lata po raz pierwszy zjadł sałatkę z cytrynowym dressingiem i oliwą, a na śniadanie jogurt – wytworną substancję znaną mu dotąd z powieści z Jamesem Bondem. Surowa kuchnia ojca i składający się z placka i chipsów jadłospis ze studenckich czasów nie przygotowały go na dziwne jarzyny – oberżynę, zieloną i czerwoną paprykę, cukinię i groch cukrowy – którymi regularnie go częstowano. Był zdumiony, a nawet lekko speszony, kiedy w trakcie jego pierwszej wizyty Violet podała na pierwsze danie niedogotowany groszek. Musiał opanować awersję, którą budził w nim nie tyle smak, ile reputacja czosnku. Ruth zaśmiewała się kilka minut, aż w końcu musiała wyjść z jadalni, kiedy pomylił bagietkę z croissantem. Już na samym początku zaimponował Pontingom, oświadczając, że nigdy nie był za granicą, z wyjątkiem Szkocji, gdzie wspinał się na trzy szczyty Munro na półwyspie Knoydart. Po raz pierwszy w życiu jadł muesli, oliwki, świeży czarny pieprz, chleb bez masła, anchois, niedopieczoną jagnięcinę, ser, który nie był cheddarem, ratatuję, suchą kiełbasę, *bouillabaise*, całe posiłki bez ziemniaków i coś, co okazało się dla niego największym wyzwaniem, rybną różową pastę, *tarama salata*. Wiele z tych rzeczy było całkiem niezłych i podobnych do siebie w pewien nieokreślony sposób, ale Edward nie chciał sprawiać wrażenia prostaka. Jedzenie stawało mu czasami w gardle, gdy połykał je zbyt szybko.

Do niektórych nowości od razu się przekonał: należały do nich świeżo mielona i filtrowana kawa, sok pomarańczowy na śniadanie, *confit* z kaczki i świeże figi. Nie mógł wiedzieć, jak nietypowa jest sytuacja Pontingów, małżeństwa uniwersyteckiej wykładowczyni i odnoszącego sukcesy biznesmena, oraz samej Violet, która przyjaźniła się w swoim czasie z Elizabeth David, szła w pierwszym szeregu rewolucji kulinarnej i uczyła studentów o monadach i imperatywie kategoriycznym. Edward obserwował cały ten układ, nie zdając sobie sprawy z jego egzotyczności. Zakładał, że tak właśnie żyją oksfordzcy profesorowie, i nie zamierzał okazywać, że mu to imponuje.

Tak naprawdę jednak był oczarowany, żył jak we śnie. W to ciepłe lato pożądanie, jakie budziła w nim Florence, było nierozłącznie związane z dekoracjami – wielkimi białymi pokojami i ich pozbawionymi pyłku, ogrzanyymi przez słoneczne światło podłogami, chłodnym zielonym powietrzem wpadającym z bujnego ogrodu przez otwarte okna, wonnymi oksfordzkimi kwiatami, świeżo wydanymi książkami leżącymi na stołach w bibliotece – nową Iris Murdoch (przyjaźniła się z Violet), nowym Nabokowem i nowym Angusem Wilsonem – oraz pierwszym spotkaniem ze stereofonicznym gramofonem. Florence pokazała mu któregoś ranka tkwiące w eleganckiej szarej skrzynce, żarzące się pomarańczowo lampy wzmacniacza i wysokie do pasa głośniki, a potem puściła niemiłosiernie głośno symfonię *Haffnerowską* Mozarta. Początkowa oktawa porwała go swoją odważną klarownością – nagle zobaczył przed sobą całą orkiestrę i wyciągając w górę pięść i nie dbając o to, kto go słyszy, krzyknął na cały pokój, że ją kocha. Powiedział to po raz pierwszy w życiu, do niej i w ogóle do kogokolwiek. Florence wyznała mu bezgłośnie to samo i roześmiała się uszczęśliwiona, że poruszył go w końcu jakiś utwór muzyki poważnej. Edward próbował z nią zatańczyć, ale muzyka stała się wkrótce szybsza i niespokojna i zatrzymali się raptownie w miejscu, przytuleni do siebie, pozwalając, by dźwięki wirowały dookoła.

Jak mógł udawać przed samym sobą, że w jego skromnej egzystencji nie były to nadzwyczajne doznania? Nie myślał o tym. Nie był z natury introwertykiem i kręcąc się po jej domu z ustawiczną, jak się zdawało, erekcją, zdołał w jakiś sposób tłumić i ograniczać swoje myśli. Na mocy niepisanych domowych zasad wolno mu było polegiwać w dzień na łóżku Florence, kiedy ćwiczyła na skrzypcach, pod warunkiem że drzwi do sypialni były otwarte. Miał wówczas czytać, ale potrafił jedynie gapić się na nią i podziwiać jej gołe ramiona, opaskę na włosach, wyprostowane plecy, słodkie wygięcie podbródka, pod którym trzymała instrument, zarys piersi na tle okna, opalone zgrabne łydki, o które ocierał się skraj jej bawełnianej sukienki, napinające się w chwili, gdy się pochylała i kołysała. Od czasu do czasu wzdychała z powodu jakiejś wyimaginowanej niedoskonałości tonu lub frazy i powtarzała cały fragment od nowa. Innym wskaźnikiem nastroju było to, jak obracała nuty na pulpicie, czasem wyginając raptownie nadgarstek, innym razem niespiesznie, nareszcie zadowolona z siebie albo w oczekiwaniu nowych przyjemności. Intrygowało go i niemal mu imponowało, że prawie nie zauważała jego obecności – miała dar totalnej koncentracji, podczas gdy on spędzał cały dzień w oparach nudy i podniecenia. Czasami mijała godzina, zanim sobie o nim przypomniała, i chociaż odwracała się i uśmiechała, nigdy nie kładła się razem z nim na łóżku – wielkie

profesjonalne ambicje albo kolejny punkt domowego regulaminu zatrzymywały ją przy pulpicie.

Chodzili na spacer po Port Meadow i w górę Tamizy, do pubów Perch i Trout na piwo. Kiedy nie mówili o łączących ich uczuciach – te rozmowy wydały się wkrótce Edwardowi nieco przesłodzone – snuli plany życiowe. Edward dywagował na temat zwiezłych biografii na pół zapomnianych bohaterów, którzy stali przez krótką chwilę u boku wielkich ludzi, względnie sami pławili się w słonecznym blasku. Opisał jej dziką jazdę na północ sir Roberta Caseya, który pojawił się na dworze króla Jakuba z twarzą zakrwawioną po upadku z konia i któremu na nic się zdało całe to poświęcenie. Po rozmowie z Violet Edward postanowił włączyć do swojej serii jednego ze średniowiecznych sekciarzy, Normana Cohna, mesjasza flagelanta z lat sześćdziesiątych XIV wieku, którego nadejście zostało przepowiedziane, jak twierdzili on i jego wyznawcy, w prorocत्वach Izajasza. Chrystus był zaledwie jego zwiastunem, ponieważ to mesjasz flagelant był Imperatorem Dni Ostatnich i Bogiem we własnej osobie. Jego biczujący się wyznawcy modlili się do niego i słuchali go we wszystkim. Nazywał się Konrad Schmid i został prawdopodobnie spalony na stosie przez inkwizycję w roku 1368. Po jego śmierci cały kult po prostu przestał istnieć. Edward wyobrażał sobie, że biografie, które napisze, nie będą przekraczały dwustu stron, zostaną opublikowane przez Penguin Books, a po skompletowaniu będzie można nabyć serię w specjalnym pudełku. Florence mówiła naturalnie o planach dotyczących Kwartetu Ennismore. Tydzień wcześniej jego muzycy pojechali do swojego starego college'u i zagrali kwartet smyczkowy nr 2 *Razumowski* Beethovena jej dawnemu nauczycielowi, który był pod wielkim wrażeniem. Powiedział, że mają przed sobą przyszłość i muszą za wszelką cenę trzymać się razem i ciężko pracować. Dodał, że powinni zawęzić swój repertuar i skoncentrować się na Haydnie, Mozarcie, Beethovenie i Schubercie, zostawiając na później Schumanna, Brahmsa oraz dwudziestowiecznych kompozytorów. Florence oznajmiła Edwardowi, że nie pragnie innego życia i nie zamierza trwonić lat za tylnym pulpitem jakiejś orkiestry, nawet gdyby udało jej się dostać tam etat. Praca w kwartecie była tak intensywna, konieczność koncentracji – ponieważ każdy muzyk był w zasadzie solistą – tak olbrzymia, muzyka tak piękna i bogata, że za każdym razem, gdy grali jakiś utwór, znajdowali w nim coś nowego.

Powiedziała to wszystko, wiedząc, że muzyka poważna nic dla Edwarda nie znaczy. Dla niego był to nadający się do słuchania w tle – i raczej niezbyt głośno – niezróżnicowany strumień kwilenia, rzępolenia i trąbienia, traktowany powszechnie jako coś, co ma symbolizować powagę, dojrzałość

oraz szacunek dla przeszłości, kompletnie przy tym nieciekawym i nieekscytującym. Florence wierzyła jednak, że jego triumfalny okrzyk na początku symfonii *Haffnerowskiej* stanowił przełom, i poprosiła, żeby pojechał z nią do Londynu i oglądał próbę. Chętnie się zgodził – chciał ją oczywiście obserwować przy pracy, ale co ważniejsze, był ciekaw, czy ten wiolonczelista Charles, o którym tyle razy wspominała, jest rywalem w jakimkolwiek sensie. Gdyby okazało się, że tak, powinien chyba zademonstrować swoją obecność.

Z powodu letniej przerwy w rezerwacjach sklep z fortepianami przy Wigmore Hall użyczył kwartetowi salę prób za symboliczną opłatą. Florence i Edward zjawili się tam wcześniej od innych, mogła więc go oprowadzić po Wigmore Hall. Zielona sala, mała garderoba, a nawet widownia i kopuła z trudem tłumaczyły według niego szacunek, jakim darzyła to miejsce. Była tak dumna z Wigmore Hall, jakby sama ją zaprojektowała. Zaprowadziła Edwarda na scenę i poprosiła, by wyobraził sobie dreszczyk emocji i treść, jakich doznaje się tu, występując przed wytrawną publicznością. Nie udało mu się to, ale się nie przyznał. Powiedziała mu, że któregoś dnia to się wydarzy, podjęła już decyzję: Kwartet Ennismore wystąpi tutaj, pięknie zagra i odniesie sukces. Pocałował ją, a potem zeskoczył na widownię i przysiągł, że cokolwiek się zdarzy, będzie tutaj owego dnia, dokładnie na tym fotelu 9C, i pierwszy będzie bił brawo po zakończeniu koncertu.

W czasie próby siedział cicho w rogu pustego pomieszczenia, czując się głęboko szczęśliwy. Odkrył, że bycie zakochanym nie jest czymś stałym, lecz podlega przyptykom i odpływowym – czegoś takiego doświadczał właśnie w tamtej chwili. Wiolonczelista, najwyraźniej speszony obecnością nowego przyjaciela Florence, był pulchnym, jaskrawym się facetem z fatalną cerą. Edwardowi było go po prostu żal i wybaczył mu wielkodusznie niewolnicze zapatrzenie we Florence; sam również nie mógł od niej oderwać wzroku. Zabierając się do pracy z przyjaciółmi, znajdowała się w podobnym do transu stanie ekscytacji. Założyła opaskę na włosy i czekając na początek próby Edward zaczął marzyć, nie tylko o uprawianiu z nią seksu, ale także o małżeństwie, rodzinie i córce, którą mogli mieć. Rozmyślanie o takich sprawach było z pewnością oznaką dojrzałości. Być może stanowiło po prostu przyzwoitą odmianę dawnego marzenia o byciu kochanym przez więcej niż jedną dziewczynę. Córka miałaby urodę i powagę matki, a także jej urocze wyprostowane plecy, i na pewno grałaby na jakimś instrumencie, prawdopodobnie na skrzypcach, chociaż nie wykluczał gitary elektrycznej. Tego konkretnego popołudnia na próbę przyszła, żeby popracować nad kwintetem Mozarta, grająca na altówce Sonia z akademika Florence. W

końcu byli gotowi. Rozpoczęli od króciutkiej ciszy, którą być może zapisał w nutach sam Mozart. Kiedy zaczęli grać, Edwarda uderzyły siła głosu, potęga brzmienia i aksamitne przeplatanie się instrumentów i przez kilka minut muzyka autentycznie mu się podobała – aż w końcu stracił wątek i podobnie jak wcześniej znudziła go sztywna hieratyczność i jednostajność tego wszystkiego. Po jakimś czasie Florence zarządziła przerwę i cicho dała wskazówki. Odbyła się na ich temat ogólna dyskusja, po czym znowu przystąpili do gry. Zdarzyło się to kilka razy i Edward zaczął w końcu dostrzegać wyraźną słodką melodię, różne przelotne powiązania między instrumentalistami oraz śmiałe skoki i susy, na które czekał, kiedy grali ponownie ten sam fragment. Później, w drodze powrotnej pociągiem, mógł szczerze wyznać, że poruszyła go muzyka, i zanucił nawet kilka fragmentów. Florence tak to wzruszyło, że złożyła kolejną obietnicę – znowu z tą fascynującą powagą, która sprawiała, że jej oczy wydawały się dwa razy większe. Kiedy nadejdzie wielki dzień i Ennismore zadebiutuje w Wigmore Hall, zagrają ten kwintet i zrobią to specjalnie dla niego.

W rewanżu przywiózł jej z domu do Oksfordu kolekcję płyt, które chciał, żeby pokochała. Siedziała zupełnie bez ruchu i cierpliwie słuchała – z zamkniętymi oczyma, zbyt intensywnie się koncentrując – Chucka Berry'ego. Edward myślał, że nie spodoba się jej *Roll over Beethoven*, lecz stwierdziła, że jest zabawny. Starła się powiedzieć coś pozytywnego o każdej z piosenek, ale używała takich słów, jak „skoczna”, „wesoła” i „serdeczna”, i domyślił się, że nie chce mu po prostu sprawić przykrości. Kiedy stwierdził, że Florence chyba nie czuje rock and rolla i nie ma powodu, żeby próbowała się do niego przekonać, przyznała, że najtrudniej jest jej zaakceptować bębnienie. Skoro melodie były tak proste, przeważnie na cztery czwarte, po co to bezustanne walenie, trzaskanie i brzęczenie? Jaki był tego cel, skoro w zespole grał już ktoś na gitarze rytmicznej oraz często na fortepianie? Skoro muzycy musieli słyszeć takt, czy nie wystarczyłby im metronom? Co by było, gdyby do Kwartetu Ennismore dokooptowano perkusistę? Edward pocałował ją i powiedział, że jest najbardziej zacofaną osobą w całej zachodniej cywilizacji.

– Ale mnie kochasz – odparła.

– Dlatego cię kocham – oznajmił.

Na początku sierpnia, kiedy zachorował jego sąsiad z Turville Heath, Edwardowi zaproponowano, żeby zastąpił go tymczasowo w funkcji gospodarza klubu krykietowego w Turville. Zatrudniono go w wymiarze dwunastu godzin tygodniowo i mógł je odpracować, kiedy chciał. Lubił

wychodzić z domu wczesnym rankiem, zanim jeszcze zbudził się ojciec, i słuchając śpiewu ptaków, iść powoli lipową aleją do klubu, tak jakby był jego właścicielem. W pierwszym tygodniu przygotował boisko na lokalne derby, wielki mecz przeciwko drużynie ze Stonor. Przystrzygł trawę, przejechał po niej walcem i pomógł cieśli, który przyjechał z Hambleden zbudować i pomalować nowy ekran. Kiedy nie pracował i nie był potrzebny w domu, ruszał prosto do Oksfordu, nie tylko dlatego, że tak bardzo tęsknił za Florence, ale ponieważ chciał odsunąć w czasie wizytę, którą ona powinna złożyć, by poznać jego rodzinę. Nie wiedział, co pomyśla o sobie wzajemnie ona i jego matka i jak Florence zareaguje na bałagan i brud w jego domu. Wydawało mu się, że potrzebuje czasu, żeby przygotować obie kobiety, lecz okazało się to niepotrzebne; przecinając boisko w pewne upalne piątkowe popołudnie, zobaczył Florence, która czekała na niego w cieniu pawilonu. Wiedząc, w jakich pracuje godzinach, wsiadła do porannego pociągu i wyruszyła na piechotę z Henley do doliny Stonor, trzymając w ręku mapę w dużej skali i niosąc pomarańcze w brezentowej torbie. Przez pół godziny obserwowała, jak Edward zaznacza daleką linię. „Kochając go na odległość”, jak przyznała, kiedy się pocałowali.

To był jeden z najwspanialszych momentów ich wczesnej miłości, gdy szli powoli, ramię w ramię cudowną aleją, samym jej środkiem, żeby niczego nie uronić. Teraz, kiedy nie można było tego uniknąć, perspektywa spotkania z matką i wizyty w domku nie wydawała się już ważna. Cienie lip były tak głębokie, że zdawały się niemal granatowe, na wrzosowiskach rosły polne kwiaty i świeża trawa. Edward popisывał się znajomością wiejskich nazw roślin i szczęśliwym trafem znalazł nawet rosnącą przy drodze kępę goryczuszki niemieckiej. Zerwali tylko jedną. Zobaczyli trznadla i dzwońca, a potem mignął im przed oczyma krogulec zataczający krąg nad śliwą tarniną. Florence nie знаła nazw nawet tych pospolitych ptaków, ale obiecała, że się nauczy. Zachwycała się pięknym spacerem i sprytną trasą, którą Edward obrał, oddalając się od doliny Stonor wąskim traktem do Bix Bottom, obok zrujnowanego, pokrytego bluszczem kościoła St James, zalesionym stokiem ku błoniom Maidensgrove, gdzie odkryła całe pole polnych kwiatów, następnie przez buczynę do Pishill Bank, gdzie wzniesiony z cegły i łupków mały kościółek tak pięknie przycupnął wraz z cmentarzem na zboczu wzgórza. Opisuując każde miejsce – a Edward znał je wszystkie bardzo dobrze – wyobrażał ją sobie maszerującą do niego samotnie przez kilka godzin, przystającą tylko po to, by zerknąć na mapę. Wszystko dla niego. Cóż za dar losu! I nigdy nie widział jej takiej szczęśliwej, takiej pięknej. Związała włosy czarną aksamitką i włożyła czarne dżinsy, tenisówki i białą koszulę, w której dziurkę od guzika wcisnęła zawadiacko dmuchawiec. Kiedy szli w stronę

jego domu, ciągnęła go co chwila za poplamiony trawą rękaw, spragniona kolejnego pocałunku, i przynajmniej raz, z radością, a w każdym razie ze spokojem, pogodził się z tym, że nie posuną się dalej. Gdy obrała ostatnią pomarańczę, którą się podzielili, miała lepka od soku rękę. Byli niewinnie podnieceni miłą niespodzianką, jaką im sprawiła, życie wydawało im się zabawne i swobodne i mieli dla siebie cały weekend.

Wspomnienie tego spaceru z klubu krykietowego prześladowało Edwarda rok później, w jego noc poślubną, gdy wstał w półmroku z łóżka. Targały nim sprzeczne emocje i musiał przywołać wszystkie najlepsze, najmiłsze myśli na temat Florence, w przeciwnym razie pogodziłby się chyba z klęską, machnął na to wszystko ręką. Idąc przez pokój, żeby podnieść z podłogi kalesony, odczuwał w nogach płynną ocieężałość. Kiedy włożył kalesony, wziął do ręki spodnie i stał z nimi przez dłuższą chwilę, gapiąc się przez okno na skarłale od wiatru drzewa, które zwały się teraz w jedną szarozieloną masę. Wysoko na niebie wisiał zasłonięty chmurami i niedający niemal światła księżyc w drugiej kwadrze. Dźwięk łamiących się regularnie o brzeg fal włączył się nagle w jego myśli, zupełnie jakby ktoś przekreślił kontakt; nieubłagane prawa i zjawiska materialnego świata, księżyc i przyplływów, którymi normalnie mało się interesował, nie zmieniły się ani na jotę w związku z jego sytuacją. Ten przeoczywisty fakt był zbyt okrutny. Jak mógł się z tym uporać, sam jeden, bez żadnego wsparcia? Jak mógł zejść na dół i stawić czoło Florence na plaży, gdzie, jak się domyślał, na pewno była? Trzymane w ręku spodnie wydawały mu się ciężkie i śmieszne, dwie równoległe rury z materiału, połączone zgodnie z arbitralną modą ostatnich stuleci. Wydawało mu się, że wkładając je, powróci do społeczeństwa, do swoich zobowiązań oraz prawdziwej miary swej hańby. Ubrany, będzie musiał pójść odnaleźć żonę. Odwlekał więc ten moment.

Podobnie jak wiele wyrazistych wspomnień, obraz ich wspólnego spaceru do Turville Heath zaciemnił to, co działo się przedtem i potem. Dotarłszy do domu, zastali chyba matkę samą – ojciec i dziewczynki byli w szkole. Obecność nowej twarzy wprawiała na ogół Marjorie Mayhew w podenerwowanie, ale Edward nie pamiętał, czy w ogóle przedstawił jej Florence i jak ta ostatnia zareagowała na zagracone brudne izby oraz dochodzący z kuchni odór rur odpływowych, zawsze najgorszy w letnie miesiące. Zachował w pamięci wyłącznie strzępy tego popołudnia, obrazy podobne do starych pocztówek. Jednym z nich był widok z brudnego okratowanego okna salonu na ogród, w którym Florence i jego matka siedziały na ławce, rozmawiając i wycinając nożyczkami strony z magazynu „Life”. Po powrocie ze szkoły dziewczynki musiały zabrać Florence do

sąsiadów, u których właśnie urodził się osiołek, ponieważ na kolejnym obrazku widział całą trójkę idącą ramię w ramię po trawniku. Trzeci obrazek przedstawiał Florence, która niosła do ogrodu tacę z herbatą dla jego ojca. O tak, nie powinien w to wątpić, była dobrą, najlepszą pod słońcem osobą i tego lata zakochała się w niej cała rodzina Mayhew. Bliźniaczki pojechały razem z nim do Oksfordu i spędziły cały dzień nad rzeką z Florence i jej siostrą. Marjorie stale o nią wypytywała, chociaż nie zapamiętała jej imienia, a Lionel Mayhew, z wyżyn swego życiowego doświadczenia, poradził synowi, by ożenił się z „tą dziewczyną”, zanim ona się ulotni.

Edward przywoływał te wspomnienia ubiegłego roku, te obrazy z domkiem, spacerem w cieniu lip i oksfordzkim latem, nie z sentymentalnego pragnienia, by podsycać smutek i pławić się w nim, lecz po to, by go rozproszyć, by poczuć zakochanie i powstrzymać inwazję pierwiastka, którego wolał nie zauważać, początków chmurnego nastroju, mrocznej świadomości, śladów trucizny, która już rozlewała się w jego żyłach. Gniew. Demon, którego trzymał na uwieczni wcześniej, kiedy zdawało się, że straci zaraz cierpliwość. Jak kuszące było pofolgowanie irytacji, kiedy był sam i mógł płonąć gniewem. Po takim upokorzeniu domagała się tego jego godność. Poza tym cóż może szkodzić tych kilka myśli? Lepiej uporać się ze wszystkim teraz, gdy stał półnagi pośród gruzów swojej nocy poślubnej. Pomogła mu w tym jasność umysłu, która przychodzi, gdy znienacka ustaje pożądanie. Jego myśli nie łagodziła już ani nie zamazywała pożądliwość i mógł zarejestrować z naukowym obiektywizmem rozmiary zniewagi. I cóż to była za zniewaga, jaką pogardę okazała mu Florence, krzycząc z odrazy i wycierając się poduszką, jak ostry cios mu zadała, uciekając bez słowa z pokoju, zostawiając go samego z odrażającym piętnem wstydu i brzemieniem klęski. Zrobiła, co mogła, żeby pogorszyć sytuację, żeby zamknąć im wszelką drogę odwrotu. Był dla niej godny pogardy, chciała go ukarać, zostawić samego, żeby analizował swoje defekty. Bez żadnego udziału z jej strony. Z pewnością to wszystko przez ten ruch jej ręki, jej palców. Na wspomnienie tego dotyku, tego słodkiego doznania, poczuł, jak zaczyna go ogarniać świeże gwałtowne uniesienie, odsuwając od niego wszystkie mroczne myśli, kusząc, by jej przebaczył. Opierał się jednak. Odnalazł swój temat i nie chciał z niego zrezygnować. Wyczuwał, że sprawa jest poważniejsza, niż sądził, i w końcu ją sobie uświadomił, wbił się w nią niczym górnik poszerzający ściany tunelu, mroczne przejście, w którym mogła się pomieścić jego furia.

Zobaczył to teraz jasno i był idiotą, wcześniej tego nie widząc. Przez cały rok cierpiał męki, pragnąc Florence aż do bólu i pragnąc również

mniejszych rzeczy, żalosnych niewinnych rzeczy, takich jak prawdziwy pełny pocałunek, tego, żeby go dotknęła i sama pozwoliła się dotknąć. Jedyną ulgę sprawiła mu obietnica małżeństwa. A potem ileż razy odmawiała im obojgu przyjemności. Nawet jeżeli nie mogli się kochać do dnia ślubu, zupełnie niepotrzebne były te paroksyzmy, te bolesne samoograniczenia. Lecz on był cierpliwy, nie skarżył się – uprzejmy idiota. Inni mężczyźni domagaliby się czegoś więcej albo odeszliby.

A kiedy pod koniec całego roku wymuszonej wstrzemięźliwości nie zdołał się opanować i zawiódł w kluczowym momencie, nie chciała wziąć za to winy. O to właśnie chodziło. Nie godził się na upokorzenie, nie uznawał go. Skoro to wszystko stało się z jej winy, oburzający był ten jęk zawodu i ucieczka z pokoju. Powinien przyjąć do wiadomości fakt, że Florence nie lubi się całować i dotykać, nie lubi, gdy ich ciała są blisko siebie, nie jest nim zainteresowana. Nie była zmysłowa, nie wiedziała, czym jest pożądanie. Nigdy nie będzie odczuwać tego co on. Edward podążał dalej z fatalną łatwością: wiedziała o tym wszystkim wcześniej – jak mogła nie wiedzieć? – i oszukała go. Chciała wyjść za mąż – żeby ją szanowano, żeby zadowolić rodziców albo dlatego, że wszyscy to robią. A może uważała, że to fajna zabawa. Nie kochała go, nie potrafiła kochać w sposób, w jaki kochają się mężczyźni i kobiety, wiedziała o tym i ukryła to przed nim. Była nieuczciwa.

Niełatwo uświadamiać sobie tego rodzaju trudną prawdę na bosaka, w samych kałesonach. Edward włożył spodnie, poszukał skarpetek i butów i przemyślał wszystko ponownie, wygładzając kanty i łączniki, miejsca, w których musiał się pozbyć wątpliwości. W ten sposób dopracował własne stanowisko i poczuł, jak znowu wzbiera w nim gniew. Tym razem wzburzenie osiągnęło szczyt i okazałoby się pozbawione znaczenia, gdyby Edward go nie wyartykułował. Wszystko miało zostać wyjaśnione. Musiał wiedzieć, co ona myśli i czuje – musiał jej powiedzieć i pokazać. Zabrał marynarkę z krzesła i wyszedł szybko z pokoju.

PIĘĆ

Patrzyła, jak Edward idzie plażą. Jego sylwetka była z początku tylko indygową plamą na tle ciemniejących kamyków, chwilami nieruchoma, migoczącą i rozmywającą się na krawędziach, innym razem nagle się przybliżająca, jakby przesuwiała się ruchem szachowej figury kilka pól w jej stronę. Wzdłuż brzegu kładł się ostatni blask dnia, za plecami Florence, daleko na wschodzie widać było jasne punkciki Portlandu i odbijający się od podstawy chmur żółtawy blask odległego miasta. Obserwowała Edwarda, pragnąc, by szedł wolniej, ponieważ czuła się winna i potrzebowała dla siebie więcej czasu. Bała się każdej rozmowy, jaką mogliby odbyć. Nie było słów na to, co się stało, nie istniał żaden wspólny język, w którym dwoje normalnych dorosłych mogłoby wyjaśnić sobie te wydarzenia. Kłótnia na ten temat nie mieściła jej się w głowie. Nie mogło być żadnej dyskusji. Nie chciała o tym myśleć i miała nadzieję, że on czuje to samo. Lecz o czym innym mieliby rozmawiać?, W jakim innym celu się tu znaleźli? Ta sprawa leżała między nimi, tak samo solidna jak element krajobrazu, góra albo cypel. Niedające się nazwać i ominąć. Poza tym Florence było wstyd. Wstrząs spowodowany własnym zachowaniem dzwonił jej niemal w uszach. Dlatego odbiegła tak daleko plażą, stąpając po ciężkich kamykach w swoich wyjściowych butach – żeby uciec przed tym, co zdarzyło się w sypialni, uciec przed samą sobą. Zachowała się okropnie. Okropnie. Powtórzyła w duchu kilka razy to niezgrabne, używane w towarzystwie słowo. Sugerowało coś, co łatwo się wybacza – okropnie grała w tenisa, jej siostra okropnie grała na fortepianie – i Florence wiedziała, że raczej maskuje, aniżeli opisuje jej zachowanie.

Jednocześnie zdawała sobie sprawę z hańby, którą okrył się Edward, kiedy uniósł się nad nią ze zdumioną, zbolaną miną i wygiętym w gadzim spazmie grzbietem. Starła się jednak o tym nie myśleć. Nie bardzo chciała się przyznać do ulgi, jaką sprawił jej fakt, że nie chodzi tylko o nią: i z nim było coś nie w porządku. Jakie to byłoby straszne, lecz zarazem krzepiące, gdyby cierpiał na jakąś wrodzoną chorobę, rodzinną klątwę, rodzaj schorzenia, któremu towarzyszą wyłącznie wstyd i milczenie, jak w przypadku mimowolnego oddawania moczu lub raka – tego ostatniego słowa nie wypowiadała nigdy na głos, obawiając się, że zaatakuje jej usta, co było oczywiście głupotą, do której nigdy by się nie przyznała. Mogliby wtedy wzajemnie się nad sobą poużalać, związani w miłości przez dwie różne choroby. I rzeczywiście mu współczuła, choć czuła się zarazem troszeczkę oszukana. Jeżeli nie był całkiem zdrowy, dlaczego nie powiedział jej o tym w

zaufaniu? Rozumiała doskonale, dlaczego tego nie zrobił. Ona też mu się nie zwierzyła. Jak mógł poruszyć temat swojej szczególnej deformacji, jakich użyłby słów, żeby zacząć o tym mówić? Nie znalazłby takich słów. Język, w którym by występowały, trzeba było dopiero wymyślić.

Przeanalizowawszy to wszystko, zdała sobie jednak sprawę, że Edwardowi niczego nie brakuje. Absolutnie niczego. Winna była ona, tylko ona. Opierała się plecami o wielkie zwalone drzewo, wyrzucone chyba na plażę podczas burzy, ze zdartą przez fale korą i drewnem twardym i wygładzonym słoną wodą. Usadowiona wygodnie między gałęzią i masywnym pniem czuła na krzyżu emanujące z nich ciepło dnia. Tak mogłoby umościć się niemowlę, obejmowane bezpiecznie ręką matki, nie sądziła jednak, by kiedykolwiek obejmowała ją w ten sposób Violet, której ręce były chude i twarde od pisania i myślenia. Kiedy Florence miała pięć latek, w domu pojawiła się niania, nieco pulchna i matczyna, ze śpiewnym szkockim akcentem i pościeranymi do krwi kłykciami palców, ale wkrótce potem odeszła w niejasnej atmosferze skandalu.

Florence w dalszym ciągu obserwowała maszerującego plażą Edwarda, przekonana, że on jeszcze jej nie widzi. Mogła zbiec na dół po stromym zboczu i wrócić wzdłuż brzegu laguny, lecz chociaż bała się swego męża, uważała, że uciekając, zachowałaby się zbyt okrutnie. Przez chwilę widziała zarys jego ramion na tle srebrnej smugi wody, prądu, który płynął gdzieś daleko za nim. Teraz słyszała już kamyki osuwające się spod jego stóp i to oznaczało, że on też usłyszałby jej kroki. Wiedział, że powinien iść w tę stronę, ponieważ taki właśnie mieli plan po kolacji: spacer po słynnej kamienistej mierzei z butelką wina. Po drodze zamierzali zbierać kamyki i porównywać ich rozmiary, żeby sprawdzić, czy sztormy rzeczywiście zaprowadziły porządek na plaży.

Przypomnienie tej utraconej przyjemności nie wzbudziło w niej specjalnego żalu, bo zastąpił ją natychmiast pewien pomysł, myśl, którą coś przerwało jej wcześniej tego wieczoru. Kochać się i wzajemnie wyzwolić. To był argument, który powinna wysunąć, śmiała, jak jej się zdawało, propozycja, lecz dla kogokolwiek innego, dla Edwarda mogła zabrzmieć śmiesznie i idiotycznie, być może nawet obraźliwie. Ponieważ Florence w pewnych kwestiach uważała się za raczej mądrą, nigdy nie ogarniała do końca rozmiarów własnej ignorancji. Potrzebowała więcej czasu. Edward zaś mógł się tu pojawić już za kilka sekund i musiało dojść do strasznej rozmowy. Kolejną ułomnością Florence było to, że nie miała pojęcia, jaką postawę przybrać wobec męża, nie czuła nic poza obawami przed tym, co on może powiedzieć i co powinien od niej usłyszeć w odpowiedzi. Nie wiedziała,

czy ma prosić o wybaczenie, czy spodziewać się przeprosin. Nie była zakochana ani odkochana – nie czuła nic. Chciała po prostu siedzieć tutaj sama w ciemności, oparta o pień swego wielkiego drzewa.

Edward trzymał chyba w ręku jakieś zawiniątko. Stał w miejscu w odległości dobrych kilku jardów od niej i już samo to wydało jej się nieprzyjemne, zbudziło niechętne uczucia. Dlaczego tak szybko rzucił się w pościg za nią?

– Tu jesteś – powiedział i w jego głosie rzeczywiście zabrzmiała irytacja.

Florence nie miała zamiaru odpowiadać na tak niedorzeczną uwagę.

– Naprawdę musiałaś odchodzić tak daleko?

– Tak.

– Do hotelu są chyba dwie mile.

– Nie obchodzi mnie to. Musiałam się stamtąd wyrwać – odparła zaskoczona własnym twardym tonem.

Zignorował jej słowa. Kamyki zagrzechotały pod jego stopami, gdy przestąpił z nogi na nogę. Spostrzegła teraz, że Edward trzyma w ręku marynarkę. Powietrze na plaży było ciepłe i wilgotne, cieplejsze niż za dnia. Drażniło ją to, że nie zapomniał jej zabrać. Dobrze przynajmniej, że nie zawiązał krawata! Boże, jak wielką poczuła nagle irytację, mimo że przed kilkoma minutami tak bardzo się wstydziła. Zazwyczaj zależało jej na jego dobrej opinii, lecz teraz nie dbała o to.

Szykując się, by powiedzieć to, z czym przyszedł, Edward dał krok do przodu.

– Posłuchaj, to śmieszne. Postąpiłaś niewłaściwie, uciekając w ten sposób.

– Niewłaściwie?

– W gruncie rzeczy to było cholernie niemile.

– Tak uważasz? Cholernie niemile było to, co ty zrobiłeś.

– To znaczy?

Odpowiadając mu, musiała zamknąć oczy.

– Wiesz dokładnie, co mam na myśli. – W przyszłości miało ją długo dręczyć to, co powiedziała w trakcie tej rozmowy. – To było absolutnie odrażające – dodała.

Wydawało jej się, że słyszy jego chrząknięcie, jakby cios dosięgnął piersi. Gdyby milczenie, które nastąpiło po tych słowach, było kilka sekund dłuższe, poczucie winy mogłoby obrócić się przeciwko niej i powiedziałyby może coś mniej niemiłego.

Lecz Edward nie miał zamiaru czekać z odpowiedzią.

– Nie masz najmniejszego pojęcia, jak być z mężczyzną. Gdybyś wiedziała, nigdy by do tego nie doszło. Nie pozwoliłaś mi się do siebie zbliżyć. Nic o tym wszystkim nie wiesz, prawda? Zachowujesz się, jakbyśmy mieli rok tysiąc osiemset sześćdziesiąty drugi. Nie wiesz nawet, jak się całować.

– Wiem za to, kiedy ktoś nie staje na wysokości zadania – odparła.

Nie miała tego w ogóle na myśli, to okrucieństwo nie było w jej stylu. To była po prostu odpowiedź drugich skrzypiec na to, co zagrały pierwsze, retoryczna wymiana sztychów, sprowokowana przez nagłość i precyzję jego ataku, przez drwinę, jaką usłyszała w jego słowach. Ile oskarżeń można zawrzeć w jednej krótkiej wypowiedzi?

Jeżeli go zraniła, nie dał tego po sobie poznać, choć właściwie prawie nie widziała jego twarzy. Może to właśnie ciemność była tym, co ją ośmieliło. Odzywając się ponownie, Edward nie podniósł nawet głosu.

– Nie pozwolę, żebyś mnie upokarzała.

– A ja nie pozwolę, żebyś mnie tyranizował.

– Nie tyranizuję cię.

– Owszem, robisz to. Zawsze robiłeś.

– To śmieszne. O czym ty mówisz?

Nie była tego pewna, ale wiedziała, że powinna drażnić to dalej.

– Zawsze mnie do czegoś przymuszasz, przynaglasz, czegoś ode mnie chcesz. Nigdy nie możemy po prostu być. Nigdy nie możemy po prostu być szczęśliwi. Zawsze jest ta bezustanna presja. Zawsze chcesz ode mnie czegoś więcej. To bezustanne naciąganie.

– Naciąganie? Nie rozumiem. Mam nadzieję, że nie mówisz o pieniądzach.

Nie mówiła o nich. W ogóle o tym nie myślała. Nedorzecznnością było wspomnianie o pieniądzach. Jak on śmiał?

– To ty o nich mówisz – odparła. – Najwyraźniej stale o nich myślisz.

Sprawokował ją jego sarkastyczny ton. Albo nonszalancja. To, co miała na myśli, było bardziej fundamentalne od pieniędzy, ale nie wiedziała, jak to powiedzieć. Chodziło o jego język wpychający się głębiej w jej usta, o rękę, która wsuwała się pod jej spódnicę lub bluzkę i ciągnęła jej dłoń w stronę jego krocza, o specyficzny sposób, w jaki odwracał od niej wzrok i milkł. O dąsanie się i oczekiwanie, że Florence da z siebie więcej, a kiedy tego nie robiła, kończyło się na rozczarowaniu i pretensjach, że wszystko spowalnia. Bez względu na to, jakie nowe granice przekraczała, zawsze czekały na nią kolejne. Każda poczyniona przez nią koncesja powiększała wymagania, a następnie rozmiary rozczarowania. Nawet w najszcześniejszych chwilach zawsze czuła nad sobą cień oskarżenia, niemal jawne niezadowolenie, górujące niczym alpejski szczyt, jakąś formę nieukojonego żalu, za który na mocy obopólnego porozumienia to ona ponosiła odpowiedzialność. Chciała być zakochana i pozostać sobą. Ale żeby pozostać sobą, musiała stale mówić „nie”. I w końcu przestała być sobą. Uznano ją za kogoś chorego, za przeciwniczkę normalnego życia. Irytowało ją to, że tak szybko ruszył za nią w pogoń, zamiast dać jej trochę czasu dla siebie. A to, co działo się tutaj, na brzegu kanału La Manche, stanowiło fragment większej całości. Widziała już, co dalej będzie. Odbębnią tę sprzeczkę, potem pogodzą się lub na pół pogodzą, ona da się zwabić z powrotem do sypialni i ponownie będzie musiała spełnić jego oczekiwania. I po raz kolejny zawiedzie. Nie mogła oddychać. Jej małżeństwo trwało od ośmiu godzin, a ona ugiwała się pod brzemieniem nieszczęść, tym cięższym, że nie wiedziała, jak przekazać swoje myśli. Dlatego za temat musiały im posłużyć pieniądze – w gruncie rzeczy świetnie się do tego nadawały, ponieważ Edward wpadł w gniew.

– Nigdy nie obchodziły mnie pieniądze, ani twoje, ani czyjekolwiek inne – oświadczył.

Wiedziała, że to prawda, ale nic nie powiedziała. Edward zmienił pozycję; widziała teraz wyraźniej jego sylwetkę na tle gasnącego na wodzie blasku.

– Więc zatrzymaj swoje pieniądze, pieniądze swojego ojca, i wydaj je na siebie. Kup sobie nowe skrzypce. Nie marnuj ich na coś, co mogłoby mi się przydać.

Miał napięty głos. Uraziła go bardzo głęboko, nawet bardziej, niż zamierzała, ale w tym momencie wcale się tym nie przejmowała. Pomagało jej to, że nie widziała jego twarzy. Nigdy wcześniej nie mówili o sprawach finansowych. Jej ojciec dał im w prezencie ślubnym dwa tysiące funtów.

Ona i Edward rozmawiali mgliście o tym, by kiedyś kupić za nie dom.

– Myślisz, że naciągnąłem cię na tę posadę? -- zapytał. – To był twój pomysł. Nie chcę jej. Rozumiesz? Nie chcę pracować dla twojego ojca. Możesz mu powiedzieć, że zmieniłem zdanie.

– Sam mu to powiedz. Na pewno się ucieszy. Zadał sobie dla ciebie wiele trudu.

– W porządku. Zrobię to.

Odwrócił się i odszedł w stronę brzegu, ale po kilku krokach wrócił, kopiąc kamyki z niepokohamowaną złością. Kilka z nich wylądowało u jej stóp i Florence udzielił się jego gniew. Zrozumiała nagle, na czym polega ich problem: byli wobec siebie zbyt grzeczni, zbyt powściągliwi, zbyt bojaźliwi, chodzili wokół siebie na paluszkach, mruczając, szepcząc i oglądając się na siebie. Prawie się nie znali i nigdy nie mieli szansy się poznać z powodu przyjaznego milczenia, które zacierało dzielące ich różnice, krępowało ich i zaślepiało. Bali się jakiegokolwiek różnicy zdań, lecz teraz wyzwolił ją jego gniew. Chciała go zranić i ukarać, aby wyraźnie się od niego odciąć. Ten destrukcyjny impuls był dla niej czymś nowym i w ogóle mu się nie opierała. Serce biło jej mocno i chciała powiedzieć Edwardowi, że go nienawidzi. Chciała wypowiedzieć te ostre i wspaniałe słowa, których nie użyła jeszcze nigdy w życiu, lecz on odezwał się pierwszy. Wrócił do punktu wyjścia i odwołał się do poczucia godności, chcąc ją skarcić.

– Dlaczego uciekłaś? To było niesłuszne i krzywdzące.

Niesłuszne i krzywdzące. Co za palant!

– Mówiłam ci już – odparła. – Musiałam się stamtąd wyrwać. Nie mogłam z tobą dłużej być.

– Chciałaś mnie upokorzyć.

– Dobrze, niech ci będzie. Chciałam cię upokorzyć. Nie zasługujesz na nic więcej, skoro nie potrafisz się kontrolować.

– Jesteś dziwką, mówiąc w ten sposób.

To słowo było niczym rozbłysk gwiazdy na nocnym niebie. Teraz mogła powiedzieć, co chciała.

– Skoro tak uważasz, po prostu ode mnie odejdz. Po prostu spadaj. Proszę cię, Edwardzie, odejdz. Nie rozumiesz? Przyszłam tu, żeby być sama.

Mówiąc to, co powiedział, posunął się za daleko i wiedziała, że zdał

sobie z tego sprawę. Teraz nie mógł się cofnąć. Odwracając się do niego plecami, miała świadomość, że gra pewną rolę, że stosuje taktykę w sposób, który zawsze raził ją u bardziej wylewnych przyjaciółek. Męczyła ją ta rozmowa. W najlepszym razie czekały ją te same ciche manewry. Kiedy bywała nieszczęśliwa, zastanawiała się często, co najbardziej chciałaby w danym momencie robić. Tym razem nie musiała się zastanawiać – już wiedziała. Widziała się na peronie, z którego odchodził pociąg do Londynu, o dziewiątej rano, ze skrzypcami w futerale oraz plikiem nut i zaostrzonymi ołówkami w starej szkolnej brezentowej torbie; wybierała się na próbę, na spotkanie z pięknem i trudnościami, problemami, które mogą rozwiązać współpracujący ze sobą przyjaciele. Tutaj nie istniało rozwiązanie, które mogłaby sobie wyobrazić, chyba że przedstawiłaby Edwardowi swoją propozycję, a teraz wątpiła, czy starczy jej na to odwagi. Jak bardzo dała się zniewolić, jak mocno uwikłała się w związek z tym obcym, mieszkającym w osadzie w Chiltern Hills mężczyzną, który znał nazwy polnych kwiatów i imiona wszystkich średniowiecznych królów i papieży. I jak nieprawdopodobne wydawało jej się teraz, że sama doprowadziła do tej sytuacji, do tego uwikłania.

W dalszym ciągu była do niego odwrócona plecami. Wyczuła, że podszedł bliżej, i wyobraziła sobie, że stoi tuż za nią, z rękoma opuszczonymi po bokach, miękko je zaciskając i zastanawiając się, czy może dotknąć jej ramienia. Z pograżonych w mroku wzgórz po drugiej stronie laguny dobiegł ich śpiew pojedynczego ptaka, zawily i harmonijny. Piękno treli i późna pora wskazywały, że to musi być słowik. Ale czy słowiki żyły nad morzem? Czy śpiewały w lipcu? Edward na pewno to wiedział, lecz nie miała ochoty go pytać.

– Kochałem cię – powiedział rzeczowym tonem – ale tak bardzo to utrudniałaś.

W milczeniu uświadomili sobie implikacje użycia przez niego czasu przeszłego.

– Kochałeś mnie? – zapytała w końcu zdziwiona. Edward nie poprawił się. Może on też nie był takim złym taktykiem.

– Mogliśmy być ze sobą tacy wolni, mogliśmy żyć jak w raj – powiedział po prostu. – Zamiast tego tkwimy w tym szambie.

Naga prawda tego stwierdzenia rozbroiła ją, podobnie jak powrót do napawającego większą nadzieją czasu. Słowo „szambo” przypomniało jej jednak obrzydliwą scenę w sypialni, ciepłą substancję, która wyschła,

tworząc popękana skorupę na jej skórze. Już nigdy nie pozwoli, by przydarzyło jej się coś podobnego.

– Tak – odparła obojętnie.

– Co masz na myśli?

– Tkwimy w szambie.

Zapadło milczenie, coś w rodzaju impasu o nieokreślonej długości. W tym milczeniu słuchali szumu fal i świergotu ptaka, który przeniósł się gdzieś dalej i którego cichszy śpiew wydawał się teraz jeszcze bardziej wyrazisty. W końcu, tak jak się spodziewała, Edward położył jej rękę na ramieniu. Ten gest był miły i poczuła ciepło, które rozchodziło się po plecach aż do krzyża. Nie wiedziała, co myśleć. Nie podobał jej się sposób, w jaki wyliczała, kiedy powinna się odwrócić. Widziała siebie tak, jak on mógł ją widzieć, tak samo niezgrabną i oschłą jak jej matka, trudną do rozszyfrowania, stwarzającą trudności, podczas gdy mogli czuć się jak w raju. Powinna więc uprościć sprawę. To było jej obowiązkiem, jej małżeńskim obowiązkiem.

Odwracając się, zrobiła krok do tyłu, nie chciała bowiem, żeby ją całował, jeszcze nie teraz. Chciała mieć jasny umysł, by móc przedstawić swój plan. Widziała jednak w słabym świetle rysy jego twarzy. Być może wiszący za nią księżyc był w tym momencie częściowo odsłonięty. Miała wrażenie, że Edward patrzy na nią w sposób, w jaki robił to, kiedy miał zamiar powiedzieć, że jest piękna – w jego oczach malował się wówczas zachwyt. Nigdy mu nie wierzyła i niepokoiło ją, gdy to mówił, ponieważ chciał wówczas czegoś, czego nie była w stanie mu ofiarować. Wytracona z równowagi nie mogła jasno wyłożyć swoich racji.

– Czy to słowik? – zapytała.

– Nie, to kos.

– W nocy? – zdziwiła się, wyraźnie zawie dziona.

– Muszą tu być ich tereny lęgowe. Biedaczysko musiał się nieźle natyrać – mruknął. – Tak jak ja – dodał po chwili.

Florence parsknęła śmiechem. Miała wrażenie, że zapomniała, z kim ma do czynienia, jaka jest jego prawdziwa natura – a teraz zobaczyła go wyraźnie, mężczyznę, którego kochała, starego przyjaciela, który opowiadał niestworzone czułe głupstwa. Jej śmiech nie był jednak przyjemny, bo była trochę wściekła. Nie pamiętała, by jej emocje, jej nastroje kiedykolwiek tak gwałtownie się zmieniały. Tymczasem miała mu złożyć propozycję, która z

pewnego punktu widzenia wydawała się całkowicie sensowna, a z innego – być może, nie była tego pewna – skrajnie oburzająca. Miała wrażenie, że próbuje wymyślić od nowa samo istnienie. Była skazana na niepowodzenie.

Zachęcony jej śmiechem Edward podszedł bliżej i chciał ją wziąć za rękę, ona jednak ponownie się odsunęła. Przede wszystkim musiała zachować jasność myślenia. Rozpoczęła swoją mowę tak, jak przećwiczyła ją w myślach, od najważniejszej deklaracji.

– Wiesz, że cię kocham. Bardzo, bardzo cię kocham. I wiem, że ty mnie kochasz. Nigdy w to nie wątpiłam. Uwielbiam z tobą być i chcę spędzić z tobą życie, a ty mówisz, że czujesz to samo. To powinno być całkiem proste. Tymczasem nie jest: jak powiedziałaś, tkwimy w szambie. Mimo że tak się kochamy. Wiem również, że to wyłącznie moja wina, i oboje wiemy dlaczego. W tym momencie musi być dla ciebie dość oczywiste, że...

Zawahała się; Edward chciał coś powiedzieć, ale ona podniosła rękę.

– Że jestem całkiem beznadziejna, kompletnie beznadziejna w sprawach seksu. Nie tylko nie jestem w tym dobra, ale najwyraźniej nie potrzebuję seksu jak inni ludzie, jak ty. To po prostu coś, czego we mnie nie ma. Nie lubię tego, nie lubię o tym myśleć. Nie mam pojęcia, dlaczego tak jest, ale nie sądzę, żeby się zmieniło. Nie natychmiast. W każdym razie nie bardzo to sobie wyobrażam. I jeśli teraz tego nie powiem, zawsze będziemy się z tym borykali i sprawi to wiele przykrości tobie i mnie.

Nie odezwał się, kiedy tym razem przerwała. Stał w odległości sześciu stóp zupełnie nieruchomo i widać było tylko jego sylwetkę. Poczowała lęk i zmusiła się, by mówić dalej.

– Może powinnam pójść do psychoanalityka. Może tak naprawdę powinnam zabić matkę i wyjść za swojego ojca.

Edward nie zareagował na ten odważny żarcik, który wymyśliła wcześniej, by złagodzić wydźwięk tego, co miała mu do powiedzenia, bądź też wydać się mniej prowincjonalna. Wciąż był nieprzenikniony, dwuwymiarowy na tle morza, kompletnie nieruchomy. Ręka Florence uniosła się w niepewnym trzepotliwym geście do czoła, by odsunąć stamtąd wyimaginowany włos. Zdenerwowana, zaczęła mówić szybciej, lecz jej słowa były w dalszym ciągu jasne i dobitne. Niczym sunący po cienkim lodzie łyżwiarz przyspieszyła, żeby nie utonąć. Wyrzucała z siebie kolejne zdania, jakby sama prędkość ich wypowiedzania generowała sens, jakby pędząc wraz z nim, mogła ominąć wszelkie sprzeczności, przemknąć po wirażu swoich dobrych intencji tak szybko, że Edward nie zdążył zaprotestować. Ponieważ

mówiła jasno i wyraźnie, jej głos brzmiał dziarsko i pogodnie. W rzeczywistości jednak była bliska rozpacz.

– Dokładnie wszystko przemyślałam i to nie jest wcale takie głupie, jak się wydaje. To znaczy, jak wydaje się w pierwszej chwili. Kochamy się: to pewne. Żadne z nas w to nie wątpi. Wiemy już, ile szczęścia możemy sobie dać. Wolno nam teraz decydować o sobie i o swoim życiu. Naprawdę nikt nie może nam mówić, jak mamy żyć. Możemy robić, co nam się podoba. A ludzie żyją teraz w najprzeróżniejszych układach, ustalają swoje własne reguły i standardy, nie pytają nikogo o zgodę. Mama zna dwóch homoseksualistów, którzy żyją razem w mieszkaniu jak mąż i żona. Dwaj mężczyźni. W Oksfordzie przy Beaumont Street. W ogóle się z tym nie afiszują. Obaj nauczają w Christ Church College. Nikt nie robi im kłopotów. I my też możemy ustalić nasze własne reguły. Mogę to powiedzieć, bo wiem, że mnie kochasz. Chodzi mi o to, że... Kocham cię, Edwardzie, i nie musimy być jak wszyscy, to znaczy, nikt, w ogóle nikt... nikt nie będzie wiedział, co robimy, a czego nie robimy. Możemy być ze sobą, razem mieszkać, i jeśli chcesz, naprawdę tego chcesz, a właściwie, kiedy tylko to się zdarzy, bo oczywiście będzie się zdarzało, zrozumiem, a nawet więcej, będę tego chciała, ponieważ pragnę, żebyś był wolny i szczęśliwy. Nigdy nie będę zazdrosna, nigdy, tak długo, jak długo będę wiedziała, że mnie kochasz. Będę cię kochała i grała muzykę, to wszystko, co chcę robić w życiu. Szczerze. Po prostu chcę z tobą być, opiekować się tobą, być z tobą szczęśliwa, pracować w kwartecie i któregoś dnia zagrać coś w Wigmore Hall, coś pięknego specjalnie dla ciebie, na przykład Mozarta.

Przerwała nagle. Nie miała zamiaru opowiadać mu o swoich muzycznych ambicjach; to byłby błąd. Edward wydał przez zęby jakiś dźwięk: bardziej syk niż westchnienie. Kiedy się odezwał, jego głos przypominał szczeknięcie. Jego oburzenie było tak głębokie, że pobrzmiwała w nim triumfalna nuta.

– Mój Boże, Florence! Czy ja dobrze słyszę? Chcesz, żebym sypiał z innymi kobietami! O to ci chodzi?

– Nie, jeżeli nie będziesz tego chciała – odparła cicho.

– Chcesz powiedzieć, że mogę to robić z kim mi się podoba, byle nie z tobą.

Nie odpowiedziała.

– Naprawdę zapomniałaś, że wzięliśmy dzisiaj ślub? Nie jesteśmy dwiema ciotkami mieszkającymi w tajemnicy przy Beaumont Street.

Jesteśmy małżeństwem!

Niższe obłoki ponownie się rozstąpiły i chociaż nie było widać bezpośrednio księżycy, słaba poświata, rozproszona przez wyższe warstwy chmur przesunęła się po plaży i objęła parę stojącą przy wielkim zwalonym drzewie. Ogarnięty furia Edward pochylił się, podniósł duży gładki kamień i zaczął go przerzucać z ręki do ręki.

Był teraz bliski krzyku.

– Moim ciałem wielbić cię będę! To właśnie mi dzisiaj obiecałaś! W obecności wszystkich. Nie zdajesz sobie sprawy, jak odrażający i śmieszny jest twój pomysł? I jaki obraźliwy! Obrażliwy dla mnie! To znaczy... to znaczy... – próbował znaleźć właściwe słowa – ...jak śmiałaś!

Ruszył w jej stronę z podniesioną ręką, w której zaciskał kamień, a potem obrócił się na pięcie, sfrustrowany cisnął go w morze i nie czekając, aż wpadnie do wody, odwrócił się ponownie do Florence.

– Nabrałaś mnie. Właściwie jesteś oszustką. I wiem dokładnie, jaka jeszcze jesteś. Nie wiesz? Jesteś oziębła, ot co. Kompletnie oziębła. Ale doszłaś do wniosku, że potrzebujesz męża, a ja byłem pierwszym cholernym frajerem, który się napatoczył.

Florence wiedziała, że nie zastawiła na niego pułapki i nie oszukała go, ale wszystkie pozostałe określenia, kiedy tylko padły z jego ust, brzmiały całkiem prawdziwie. Oziębła. Okropne słowo. – Rozumiała, jak do niej pasuje. Jej propozycja była odrażająca – jak mogła tego wcześniej nie spostrzec? – i w oczywisty sposób obraźliwa. Co gorsza, Florence złamała swoje śluby złożone publicznie w kościele. Kiedy tylko Edward to powiedział, wszystko zaczęło do siebie idealnie pasować. Była bezwartościowa w swoich i w jego oczach.

Nie zostało jej nic do powiedzenia i odsunęła się od zapewniającego schronienie drzewa. Żeby wrócić do hotelu, musiała minąć Edwarda. Czyniąc to, zatrzymała się w miejscu.

– Przepraszam cię. Najmocniej cię przepraszam – powiedziała głosem niewiele się różniącym od szeptu.

Stała przez chwilę, ociągając się i czekając na jego odpowiedź, a potem odeszła.

Jej słowa, ich szczególna archaiczna składnia, prześladowały Edwarda bardzo długo w latach, które nadeszły. Budząc się w nocy, słyszał je albo coś podobnego do ich echa, słyszał brzmiały w nich błagalny żalony ton i

jęczał na wspomnienie tamtej chwili, na wspomnienie własnego milczenia, tego, jak odwrócił się od niej z gniewem i spędził na plaży kolejną godzinę, napawając się do syta smakiem urazy, zła i zniewagi, jakich od niej doznał, podsycając w sobie cikliwe poczucie, że cała racja jest po jego stronie. Chodził tam i z powrotem po kamienistej mierzei, ciskając kamyczki do morza i miotając przekleństwa, a potem osunął się na ziemię przy drzewie i śniąc na jawie, użalał się nad sobą tak długo, aż znowu rozgorzał w nim gniew. Stał przy brzegu, myśląc o niej i nie zwracając uwagi na fale, które zmoczyły jego buty. Na koniec pobrnał powoli wzdłuż plaży, zatrzymując się często i zwracając się w duchu do surowego bezstronnego sędziego, który rozumiał świetnie jego sytuację. W swoim nieszczęściu czuł się niemal szlachetny.

Kiedy dotarł do hotelu, Florence zdążyła już spakować swój neseser i wyjść. Nie zostawiła w pokoju żadnej wiadomości. W recepcji odbył rozmowę z dwoma chłopakami, którzy podawali im kolację z wózka. Nie skomentowali tego ani jednym słowem, ale byli wyraźnie zdziwieni, że nie wie, iż ktoś nagle zachorował w rodzinie i jego żona została pilnie wezwana do domu. Zastępca dyrektora był tak miły, że odwiózł Florence do Dorchester, gdzie miała nadzieję złapać ostatni pociąg i dojechać z przesiadką do Oksfordu. Idąc na górę do apartamentu dla nowożeńców, Edward nie widział znaczących spojrzeń, jakie wymienili między sobą młodzi ludzie, lecz mógł je sobie świetnie wyobrazić.

Resztę nocy przeleżał, nie śpiąc, na łożu z baldachimem, całkowicie ubrany, gotując się ze złości. Jego myśli wirowały w tańcu, delirium stałych nawrotów. Żeby wyjść za niego za mąż i potem mu odmówić, to było potworne, chciała, żeby sypiał z innymi kobietami, może miała ochotę się temu przyglądać, co za upokorzenie, coś niebywałego, nikt w to nie uwierzy, mówiła, że go kocha, nie widział prawie jej piersi, naciągnęła go na małżeństwo, nie potrafiła się nawet całować, nabrała go, oszukała, nikt nie może się dowiedzieć, to musi pozostać wstydlivym sekretem, wyszła za niego i mu odmówiła, to potworne...

Tuż przed świtem wstał i stojąc przy krześle w salonie, zdrapał zaschnięty sos z mięsa i ziemniaków na swoim talerzu i zjadł je. Następnie opróżnił jej talerz – nie obchodziło go, do kogo należał – i zjadł wszystkie miętowe czekoladki i ser. Wyszedł z hotelu o świcie, wsiadł do małego auta Violet Ponting i klucząc wąskimi drózkami i wdychając wpadające przez otwarte okno zapachy świeżych krowich odchodów i skoszonej trawy, dotarł w końcu do pustej szosy prowadzącej do Oksfordu.

Zostawił samochód przed domem Pontingów, z kluczykiem w stacyjce.

Nie spoglądając w okno Florence, ruszył z walizką przez miasto, żeby złapać poranny pociąg. Półprzytomny ze zmęczenia przebył pieszo długą drogę z Henley do Turville Heath, starając się unikać trasy, którą wybrała Florence rok wcześniej. Dlaczego miałby iść jej śladami? Doszedłszy do domu, odmówił ojcu wszelkich wyjaśnień. Matka zapomniała już, że się ożenił. Bliźniaczki zadreślały go bez przerwy pytaniami i sprytnymi domysłami. Zabrał je do ogrodu i kazał Harriet i Anne przysiąc, uroczyście i oddzielnie, z ręką na sercu, że nigdy więcej nie wymienią imienia Florence.

Tydzień później dowiedział się od ojca, że pani Ponting sprawnie załatwiła zwrot wszystkich prezentów ślubnych. Lionel i Violet wszczęli procedurę rozwodową ze względu na nieskonsumowanie małżeństwa. Za zachętą ojca Edward napisał oficjalny list do Geoffreya Pontinga, prezesa Ponting Electronics. Ubolewając z powodu „odmiany uczuć” i nie wymieniając Florence, złożył przeprosiny i rezygnację ze swojej funkcji.

Jego gniew wygasł mniej więcej rok później, ale duma w dalszym ciągu nie pozwalała mu odwiedzić Florence ani napisać listu. Bał się, że dziewczyna może być z kimś innym. Nie mając od niej wiadomości, uznał, że tak jest w istocie. Pod koniec tej słynnej dekady, kiedy na jego życie oddziaływały wszystkie nowe podniety, swobody i mody, a także liczne i chaotyczne romanse – stał się w końcu w tej dziedzinie w miarę kompetentny – często rozmyślał o jej dziwnej propozycji. Nie wydawała mu się już taka śmieszna i z całą pewnością nie była odrażająca, a tym bardziej obraźliwa. W nowych okolicznościach epoki można ją było uznać za wyemancypowaną, wyprzedzającą swój czas, w niewinny sposób wielkoduszną; stanowiła akt samopoświęcenia, którego kompletnie nie zrozumiał. Człowieku, co za gratka, mogliby stwierdzić jego znajomi, gdyby komukolwiek opowiedział o tej nocy. Mieszkał wówczas, pod koniec lat sześćdziesiątych, w Londynie. Kto mógł przewidzieć takie zmiany – nagłe wyniesienie na ołtarze bezgrzesznej zmysłowej rozkoszy, nieskomplikowaną gotowość tylu pięknych kobiet? Edward przeżył te lata niczym skonfundowany i szczęśliwy dzieciak, któremu darowano karę i który nie bardzo może uwierzyć we własne szczęście. Od dawna nie myślał już o serii krótkich biografii i karierze naukowej, choć trudno byłoby mu wskazać moment, w którym podjął stanowczą decyzję co do swojej przyszłości. Niczym biedny sir Robert Carey wypadł z kart historii, aby żyć terazniejszością.

Zajmował się organizacją różnych festiwali rockowych, pomagał założyć kantinę ze zdrową żywnością w Hampstead, pracował w sklepie z płytami niedaleko kanału w Camden Town, pisał recenzje płyt dla

niskonakładowych czasopism, miał czasami kilka kochanek jednocześnie, podróżował po Francji z kobietą, która na trzy i pół roku została jego żoną i z którą zamieszkał w Paryżu. W końcu stał się współwłaścicielem sklepu z płytami. Był zbyt zajęty, by czytać gazety, a poza tym przez jakiś czas uważał, że nie można ufać mediom, ponieważ wszyscy wiedzą, że są kontrolowane przez władzę, wojsko albo grupy finansowe – pogląd, z którego później się wycofał.

Nawet gdyby czytał wówczas gazety, nie przeglądałby raczej stron poświęconych sztuce, gdzie zamieszczano długie, wnikliwe recenzje koncertów. Jego chwilowe zainteresowanie muzyką poważną ustąpiło bez reszty fascynacji rock and rollem. Nigdy nie dowiedział się o triumfalnym debiucie Kwartetu Ennismore w Wigmore Hall w lipcu 1968 roku. Krytyk „Timesa” witał „świeżą krew i młodzieńczą pasję na naszej muzycznej scenie”. Chwalił „głęboko intensywny i wyrazisty styl gry”, który sugerował „zaskakującą muzyczną dojrzałość muzyków, którzy nie przekroczyli jeszcze trzydziestki. Opanowali z mistrzowską łatwością cały wachlarz efektów harmonicznym i dynamicznym oraz bogate kontrapunkty charakteryzujące późny styl Mozarta. Jego kwintet D-dur nigdy jeszcze nie został tak zmysłowo wykonany”. Pod koniec recenzji krytyk wyróżnił prowadzącą kwartet pierwszą skrzypaczkę. „Następnie usłyszeliśmy pełne ekspresji *Adagio*, odznaczające się wybitną urodą i duchową siłą. Panna Ponting, z jej melodyjną subtelnością tonu i liryczną delikatnością frazowania grała, jeśli mogę ująć to w ten sposób, niczym kobieta, która kocha nie tylko Mozarta lub muzykę, lecz samo życie”.

I nawet gdyby Edward przeczytał tę recenzję, nie mógł wiedzieć – nie wiedział o tym nikt prócz Florence – że kiedy zapaliły się światła na widowni i oszołomieni młodzi muzycy wstali przyjęci rześzystymi brawami, wzrok pierwszej skrzypaczki mimowolnie pobiegł ku miejscu 9C w środku trzeciego rzędu.

W późniejszych latach, za każdym razem kiedy o niej myślał, zwracał się do niej w duchu lub wyobrażał sobie, że do niej pisze albo spotykają na ulicy, miał wrażenie, że opis jego egzystencji może zająć najwyżej minutę, nie więcej niż pół strony. Czego takiego dokonał? Dryfował przez życie w półśnie, nieuważny, pozbawiony ambicji, niepoważny, bezdzielny, szukający wygody. Jego skromne osiągnięcia były głównie natury materialnej. Miał małe mieszkanie w Camden Town, udział w dwupokojowym domku w Owernii oraz dwa specjalistyczne sklepy z płytami, jazzowy i rockandrollowy, które powoli podkopywała sprzedaż w Internecie. Przypuszczał, że znajomi uważają go za porządnego chłopca i kilka razy

nieźle się zabawiał, zwłaszcza we wczesnej młodości. Był ojcem chrzestnym pięciorga dzieci, ale zaczął grać w ich życiu jakąś rolę dopiero kiedy zostały nastolatkami, i później, gdy przekroczyły dwudziestkę.

W roku 1976 zmarła jego matka i cztery lata po jej śmierci wprowadził się z powrotem do domku w Turville Heath, żeby zaopiekować się ojcem, który cierpiał na postępującą szybko chorobę Parkinsona. Harriet i Anne wyszły za mąż, miały dzieci i obie mieszkały za granicą. Czterdziestoletni Edward miał już wtedy za sobą nieudane małżeństwo. Trzy razy w tygodniu jeździł do Londynu, żeby zająć się sklepami. Jego ojciec zmarł w domu w roku 1983 i został pochowany na cmentarzu Pishill u boku swojej żony. Edward pozostał w domku jako najemca – legalnymi właścicielkami były teraz jego siostry. Początkowo przyjeżdżał tu tylko czasami z Camden Town, później, na początku lat dziewięćdziesiątych, wprowadził się na stałe. Turville Heath, a w każdym razie ten jego zakątek, nie różnił się tak bardzo od miejsca, w którym dorastał. Zamiast pracowników rolnych lub rzemieślników miał teraz za sąsiadów dojeżdżających do Londynu mieszczuchów albo właścicieli drugich domów, ale wszyscy byli dość przyjaźnie nastawieni. I Edward w żadnym wypadku nie określiłby siebie jako nieszczęśliwego – wśród jego londyńskich znajomych była kobieta, którą bardzo lubił; po przekroczeniu pięćdziesiątki grał w krykieta w drużynie Turville Park, udzielał się w towarzystwie historycznym w Henley i brał udział w odtworzeniu starych upraw rukwi wodnej w Ewelme. Dwa dni w miesiącu pracował w fundacji mieszczącej się w High Wycombe i pomagającej dzieciom z uszkodzeniem mózgu.

Nawet jako sześćdziesięciolatek, duży tęgi mężczyzna z przerzedzającymi się siwymi włosami i rumianą zdrową twarzą, uprawiał długie spacerunki. Jego codzienna przechadzka w dalszym ciągu prowadziła lipową aleją i przy dobrej pogodzie wybierał okreśną trasę, żeby przyjrzeć się polnym kwiatom na błoniach Maidensgnwe albo motylom w rezerwacie Bix Bottom. Wracał potem przez bukowy las do kościoła i cmentarza w Pishill, gdzie, jak sądził, on też zostanie któregoś dnia pochowany. Mijając czasami rozwidlające się głęboko w lesie ścieżki, myślał, że w tym właśnie miejscu musiała się zatrzymać Florence, żeby spojrzeć na mapę, tamtego dnia w sierpniu, i wyobrażał ją sobie wyraźnie, odległą o kilka stóp i czterdzieści lat, zdecydowaną go odszukać. Spoglądał także w dół w dolinę Stonor i zastanawiał się, czy przystanąła tutaj, żeby zjeść pomarańczę. Gotów był wreszcie przyznać w duchu, że nigdy nie poznał innej osoby, którą by tak kochał, że nigdy nie spotkał nikogo, mężczyzny ani kobiety, o tak poważnym stosunku do życia. Może gdyby z nią został, byłby bardziej skoncentrowany i

ambitny, może napisałby te biografie. Zupełnie się na tym nie znał, ale wiedział, że Kwartet Ennismore był wysoko ceniony na muzycznej scenie. Nigdy nie poszedł na ich koncert ani nawet nie spojrzął na płyty z nagraniami Beethovena lub Schuberta. Nie chciał zobaczyć jej fotografii i odkryć, jak zmieniła się z biegiem lat, nie chciał dowiadywać się, co u niej słyhać. Wolał zachować ją w pamięci taką, jaka była, z dmuchawcem w dziurce od guzika, z aksamitką ściągającą włosy, brezentową torbą na ramieniu i piękną twarzą o silnych rysach i szerokim naturalnym uśmiechu.

Kiedy o niej myślał, dziwiło go raczej, że pozwolił odejść tej dziewczynie ze skrzypcami. Teraz zdawał sobie oczywiście sprawę, że jej propozycja usunięcia się w cień nie miała większego znaczenia. Chciała być tylko pewna jego miłości, chciała wiedzieć, że nie spieszy im się, skoro mają przed sobą całe życie. Miłość i cierpliwość – gdyby tylko zdołał je jednocześnie okazać, obojgu udałoby się przez to przebrnąć. A wówczas jakie dzieci miałyby szansę się narodzić, jaka mała dziewczynka z opaską na włosach stałaby się jego ukochanym kompanem? Tak oto można zmienić bieg całego życia – przez zaniechanie. Stojąc w letnim zmroku na plaży Chesil, mógł zawołać Florence, mógł za nią pójść. Nie wiedział bądź też nie chciał wiedzieć, że kiedy od niego uciekała, zrozpaczona i pewna, że go traci, nigdy nie kochała go mocniej i bardziej beznadziejnie, że jego głos okazałby się zbawieniem i na pewno by się odwróciła. Zamiast tego stał w chłodnym i wyniosłym milczeniu, nie słysząc jej zagłuszanych przez łamiące się fale utrudzonych kroków, i patrzył, jak odchodzi, aż w końcu stała się zamazanym, malejącym punktem na tle prostego długiego pasma kamyków lśniących w bladym świetle.

Bohaterowie tej powieści są fikcyjni i nie przypominają żadnych osób żywych lub martwych. Hotel, w którym zatrzymali się Edward i Florence – stojący na wzniesieniu za plażowym parkingiem, milę na południe od Abbotsbury w hrabstwie Dorset – nie istnieje.

I. M.